

Głos Nauczycielski

CENTRALNY ORGAN ZWIĄZKU ZAWODOWEGO NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO

Nr 30 - 31

WARSZAWA, 22—29 LIPCA 1956 R.

CENA 60 GR

Wywiad z Ministrem Leonem Chajnem

W sprawie nauczycieli-rencistów

"TRYBUNA LUDU" w nrze 176 (2688) z dnia 25 czerwca 1956 r. zamieściła wywiad z ob. Wiceministrem Pracy i Opieki Społecznej Leonem Chajnem w sprawie nowego projektu ustawy o rentach.

W swym wywiadzie ob. Minister oświadczył, że resort czyni starania, aby ustanowić jeszcze pośrednią kategorię rent dla robotników zatrudnionych w podstawowych działach gospodarki narodowej i dla samodzielnych pracowników umysłowych: naukowców, nauczycieli, lekarzy, pracowników umysłowych od V grupy wżwyż. W uzasadnieniu wskazał, iż obecna sytuacja powoduje, że wskutek wyższych stawek w kategorii I zawody nie mające nic wspólnego z pracą pod ziemią czy w warunkach szkodliwych dla zdrowia, za wszelką cenę chcą skorzystać z tej uprawnień, co oczywiście wywołuje niepokój wśród nauczycieli, zaliczonych ustawą z dnia 27 kwietnia 1956 r. do I kategorii.

W związku z powyższym Redakcja "Głosu Nauczycielskiego" prosiła ob. Ministra L. Chajna o wyjaśnienie następujących kwestii:

PYTANIE: Czy w związku z treścią Waszego wywiadu udzielonego "Trybunie Ludu" należy liczyć się z możliwością uchylecia art. 14 ustawy z dnia 27.4.1956 r. o prawach i obowiązках nauczycieli (Dz. U. nr 12, poz. 63) gwarantującego nauczycielom renty na zasadach określonych dla pracowników zaliczonych do I kategorii.

ODPOWIEDZ: Zaniepokojenie wśród nauczycieli w związku z udzielonym przez mnie "Trybunie Ludu" wywiadem jest wynikiem bolesnego nieporozumienia. Nikt w Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej nie liczył się z możliwością uchylecia art. 14 ustawy z dnia 27.4.1956 r. o prawach i obowiązках nauczycieli, gwarantujących nauczycielom renty na zasadach określonych dla pracowników zaliczonych do I kategorii zatrudnienia. Miałam, jak dalece obca jest nam taka tendencja, może być fakt, że 26.VI br. przesłaliśmy dla uzgodnienia do Ministerstwa Oświaty i Zarządu Głównego ZZZP projekt wykonawczego zarządzenia ministra Pracy i Opieki Społecznej — w oparciu o art. 54 ust. 3 wspomnianej ustawy.

Moja wypowiedź na temat konieczności wprowadzenia pośredniej kategorii zatrudnienia nie oznacza likwidacji nabytych przez nauczycieli uprawnień do I kategorii, a jedynie możliwość upro-

wadzenia dodatkowej kategorii (np. Ia) dla osób zatrudnionych pod ziemią lub pracujących w warunkach szkodliwych dla zdrowia (np. garwci, formierze, wyciąpaczce, pracownicy narażeni na działanie radu i innych promieniotwórczych substancji itp.).

PYTANIE: Czy ob. Minister mówiąc o przyjęciu za podstawę obliczania rent średniej zarobków z ostatnich lat 10 mił również na uwadze takich pracowników jak nauczyciele, których zarobki wstają w odstępach 6-letnich wskutek automatycznego awansu, a zatem średnia ich zarobków z ostatnich lat 10 z reguły będzie niższa od średniej zarobków z ostatnich 12 miesięcy, co w konsekwencji pociągnęłoby za sobą obniżenie renty.

ODPOWIEDZ: Dla większości pracujących (fizycznych i umysłowych) obliczenie renty na podstawie zarobków osiągniętych w szczytów stażu zawodowego (tj. ostatnich 12 miesięcy) jest wysoce krzywdzące. Dla niektórych zaś kategorii ostatnie 12 miesięcy mogą być korzystniejsze (np. nauczyciele), względnie łatwiejsze do uśrednienia (np. robotnicy budowlani). Dlatego też według opracowanego przez nas projektu podstawę wyznaczenia renty stanowi przeciętny zarobek:

a) z podanej według w y b o r u z z a i n t e r e s o w a n e g o l i c z b y l a t z a t r u d n i e-

n i a, l i c z o n y c h k o l e j n o u s t e c z o d d n i a z g ł o s z e n i a u n i o s k u o r e n t e l u b o d u s t a n i a z a t r u d n i e n i a, n a j w y j e j j e d n a k z o s t a t n i c h 10 l a t — a l b o

b) z o s t a t n i c h 12 m i e s i e c y z a t r u d n i e n i a.

W ten sposób stworziliśmy elastyczną zasadę (według uznania zainteresowanego), która zaspokaja postulat różnych kategorii pracujących.

PYTANIE: Czy ob. Minister widzi możliwość wprowadzenia do nowej ustawy emerytalnej przepisu o przyznawaniu rent nauczycielom, którzy wprawdzie nie osiągnęli wieku starszego w obowiązujących przepisach, lecz przepracowali w zawodzie 35 lat.

ODPOWIEDZ: Czyniliśmy starania o wprowadzenie renty za usługę lat (m. in. dla nauczycieli). Natrafiliśmy na pewne opory. Liczymy się z możliwością (jednak nie w obecnej noweli) wprowadzenia procentowego dodatku do rent za większy staż pracy, w stosunku do wymaganego przez dekret. Np. za każde 5 lat stażu ponad wymaganą, tj. ponad 25 lat — dodatkowo 2% dodatku do renty.

PYTANIE: Przepisy obowiązującego dekretu emerytalnego (art. 28 ust. 1 pkt.) pozbawiają prawa do renty starczej tych pracowników zwolnionych z pracy, którym brakuje więcej niż 2 lata do wieku starszego. Nauczyciele uważają ten przepis za krzywdzący.

Czy można spodziewać się, że nowa ustawa zmieni ten przepis w kierunku korzystnym dla nauczycieli?

ODPOWIEDZ: Projektujemy zmianę tego przepisu w kierunku przedłużenia tego okresu do lat 5.

PYTANIE: Czy nowa ustawa nie pozbawia nauczycieli-rencistów i ich małżonków zagwarantowanego w art. 29 ustawy z dnia 27.4.1956 r. o prawach i obowiązках nauczycieli prawa do ulg kolejowych?

ODPOWIEDZ: Jak już wspominałem, nie mamy zamiaru w czymkolwiek zmie-

niać ustawy o prawach i obowiązках nauczycieli.

PYTANIE: Jakiej pomocy oczekuje Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej od związków zawodowych w zakresie odbudowy emerytalnego oraz w zakresie wzmocnienia opieki nad rencistami?

ODPOWIEDZ: Chcieliśmy uzyskać poparcie Związku dla koncepcji przerzucenia ciężaru zabiegów o rentę, które ciąży obecnie na obywatelu (przeważnie na człowieku starym lub niezdolnym do pracy) na komisję kadrową. Wydziały personalne miałyby obowiązek — zauszczu — skompletować wszystkie niezbędne dokumenty (zestawienia świadczeń) i w imieniu zainteresowanego wystąpić o rentę, aby jej wypłata nastąpiła w momencie, gdy zostały spełnione warunki ustawowe. Nad działalnością komisji kadrowych kontrolę społeczną sprawowałyby związkowe komisje socjalno-bytowe.

Ważną sprawą w zakresie okazania pomocy rencistom jest organizacja pomocy branżowych dla rencistów-nauczycieli. Szczepiłoby kredytów inwestycyjnych Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej nie pozwala na rozwinięcie tych form pomocy. Gdyby zainteresowane ministerstwo ze swoich limitów inwestycyjnych przeznaczyło rocznie np. 15 miliona złotych — moglibyśmy co dwa lata budować jeden dom dla 100 emerytów.

Po wybudowaniu domu Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej przyjmowałoby na swój budżet jego prowadzenie — a zainteresowany resort miałby dysponować w zakresie umieszczania w nim swoich rencistów. Resortowe ministerstwo i związek zawodowy sprawowałyby szefostwo nad takim domem. Byłoby to wyrazem troski ze strony branżowego ministerstwa i związku zawodowego nie tylko w stosunku do aktualnie zatrudnionych, ale także wobec człowieka, który oddał swe siły i zdrowie w pracy, a na starość lub wskutek niezdolności do pracy — zastąpił sobie na odpoczynek.

Od Redakcji

Po trzyletniej przerwie „Głos Nauczycielski” stał się za obopólną zgodą Ministerstwa Oświaty i Zarządu Głównego ZZZP ponownie Centralnym Organem Związku Zawodowego Nauczycielstwa Polskiego. Dokonaną zmianę, powrót do mającego dziesiątki lat tradycji tytułu, trzeba uznać za słuszną. Dla wielu bowiem związków, szczególnie starszych działaczy, przywiązanych do tradycji swej organizacji zawodowej wydawał się drażniący Upatrywali w nim ograniczenie suwerenności związkowej, wyrażali obawę, że w ten sposób uszczuplona zostaje niezależność i odwaga Redakcji, ostraść z jaką się stawia w piśmie najważniejsze problemy życia i pracy mas nauczycielskich.

Mając wieloletnie doświadczenie redakcyjne stwierdzamy, że dotychczasowy, niepopularny wśród związkowców wspólny z wiciem nie utrudniał pracy wewnątrzredakcyjnej — żadna akcja, żaden artykuł nie został oddolony do szuflady tylko dlatego, że byliśmy organem również i Ministerstwa Oświaty. Także w ciągu ostatnich trzech lat liczba prenumeratorków „Głosu” wzrosła o ponad 40 tys. przekraczając w czerwcu 100 tys. nakładu. Wzrosła również wydawnictwo listów otrzymywanych od Czytelników. Trzeba jednak obiektywnie stwierdzić, że dotychczasowy stan rzeczy utrudniał współpracę z ZZZP, rzucał ciemne nieporozumienia i urojeń na stosunek czytelników do pisma, osłabiając tym samym siłę oddziaływania „Głosu” na nauczycielstwo.

Dlatego uczynienie „Głosu Nauczycielskiego” Centralnym Organem włącznie ZZZP raz jeszcze przywitamy należy jako rzecz pozytywną i słuszną. Sama zmiana podtytułu nie przesądza treści i charakteru pisma. Co jednak nowego wprowadzić, aby pismo w większym niż dotąd stopniu stało się Centralnym Organem Związku? Nie rezygnując ani na jotę z ambicji obejmowania całości stału przebiegającej problematyki życia oświatowego i pracy oraz bytu nauczyciela polskiego, tzn. z dotychczasowego ogólnego kierunku i charakteru naszej gazety, uważamy za rzecz konieczną:

— w większym niż dotychczas stopniu związać pracę Redakcji, treść pisma z działalnością Związku, z jego pracami i problemami, z jego polityką i strategią, z jego działalnością w dziedzinie politycznej, kulturalnej i naukowej, tam gdzie to jest możliwe nawiązać treść artykułów do bieżących zadań nauczyciela i szkoły,

— w dalszym ciągu być trybuną dyskusyjną dla wszystkich nauczycieli, z jednoczesnym wciągnięciem do szerzej niż dotąd współpracy aktywny ZZZP i działaczy oświaty.

To są podstawowe zamierzenia Redakcji, które nie pływają głównej linii i oblicza pisma pozwolą na wyższym poziomie w większym niż dotychczas stopniu walczyć o sprawy nauczycieli, dalsze przeobrażenie naszego szkolnictwa i panujących w nim stosunków na socjalistyczne.

O wszechstronnej pomocy i współpracy w urzędowaniu tych zamierzeń zwracamy się do naszych Czytelników i Korespondentów, do całego aktywnego związkowego i oświatowego.

Zespół redakcyjny
Bolesław Milewicz, red. nac., Maria Drozd-Paschalska, Danuta Chrzczonowicz, Kalina Gawęcka, Halina Handzelcz, Elżbieta Jakiewiczowa, Mikołaj Kozakiewicz, Maria Plecińska, Franciszek Strojowski, Antoni Szumski, Jan Szurek, Sylwia Zajączkowska.

W numerze

ZOFIA GRUSZCZYŃSKA

„Moje przemyślenia o czwartakach” — str. 2

WŁADYSŁAW BERNHARDT

„C. K. nauczyciele w Angliach” — str. 3

FLORIAN KOZANECKI

„Pod znakiem Rodła” — str. 3

MIECZYSLAW GAWĘCKI

„Dzieje seminarzysty” — str. 4

ST. PODHORSKA-OKOŁOWA

„Na Białorusi w szkołach polskich” — str. 5

JAN RADIUKIEWICZ

„W Dudkach k. Kalinówki Kościelnej” — str. 5

ALEKSANDRA DARGIEŁOWA

„Targówek 1915” — str. 6

FRANCISZEK ŚLAWIŃSKI

„Budowałem szkołę w Kiernozie” — str. 6

ANNA CZAMAN-PAWŁOWSKA

„Zmartwychwstanie” — str. 7

WŁADYSŁAW MAĆKOWICZ

„Całe życie w tej samej wsi” — str. 7

W dniu Święta Wyzwolenia poświęcamy ten numer „Głosu” pamiętnikom nauczycieli-weteranów

W E T E R A N I

ISTOTNIE — lektura okazała się wręcz porównawcza. Sto czterdzieści pamiętników, ponad cztery tysiące stron. Jedne odbite już nowoczesnie w normalizowanych maszynopisach, inne pisane odręcznie na arkuszach podaniowych, pedantycznie staranną kaligrafia (tak charakterystyczna dla absolwentów dawnych seminarów), jeszcze inne, to kartki kajetów i szpagiły o trudno czytelnym piśmie, nieczym testament kreślony nagłe i pośpiesznie starczą drżąca dłonią.

Nierazko wśród papierów znajdujemy załączniki urzędowych dokumentów szkolnych, listów, zdjęć, własnoręcznie wykonanych rycin — pieczętowane przechowywanych niekiedy pod wiekiem. To oryginalny dyplom w języku rosyjskim czy niemieckim, pierwsza polska nominacja, korespondencja (czasem gniewna) z dożorem szkolnym, gmina, inspektorat, komisją dyscyplinarną, Min. WROF. Oto zdjęcia fotograficzne indywidualne, grupowe i rodzinne w ozdoby pasy-partout (z odbiciem) cena jeszcze w rublach, koronach lub markach ludzi w strojach i fryzurach z mody sięgającej niekiedy fin de siècle'u.

Wprawdzie wiosenne dni w naszym kraju były tego roku po brzegi wypełnione burliwą współczesnością, ale na posiedzeniach konkursowego jury chłoniliśmy z zainteresowaniem wspomnienia nauczycieli o latach minionych. Nie zaliśmy ich jeszcze z imienia i nazwiska — kryli się do końca pod zaszyfrowanymi godłami. Ale każdy z autorów, (jedni sucho i lakonicznie, inni rozlewkie i gawędziarsko, jeszcze inni barwnie i literacko) usiłował przedstawić swoje osobiste dzieje nauczycielskie. I gdy wczytwałem się w te relacje, wydawało mi się, że (jak chłopak, który przylgnął okiem do okularu fotograficznego) oglądam z bliska zażyte w bezruchu portrety ludzi, rzeczy, sprawy, sytuacje.

Widzę „Krośniaka” — młodzieńca w angielskiej, jak nieśmiało puka do drzwi Wielmożnego Pana C. K. Inspektora Szkolnego. Widzę, jak żywa, tę komizną (może raczej tragicznie) scenę w szkole wiejskiej u „Dziadka”, kiedy w czasie strajku szkolnego 1905 roku, wpada do niego niespodzianie na wizytację carski czynownik z „Uczelnego Direkcji”. „Moskali” o miedziانو rudej brodzie potykając się o wysoki próg izby, przewraca się jak długi, ku uciesze dzieciaków, które zamiast chwałowym „zdrastujcie Wasze Wysoke Blagorodie” witają go: „rudy lis!”, „rudy lis!”.

Widzę ją — „Entuzjastkę” — młodą i poważną (o karnacji moralnej emancypantek), która po skończeniu pensji otrzymuje za protekcję filantropijnego „Towarzystwa Opieki nad Kobietami” skierowanie na posadę guwernantki do szlachectwa i rodzinę w Kijowie. Podobne są też losy „Idealistki”.

Widzę ich wszystkich w mizernych szkołach wiejskich — w Chechu i Uszu, w Wojciechowie i Obrebinie, Tuczach i Policznie i w dziesiątkach innych zapadłych wsi. Widzę, jak ścinają koltuny dzieciakom, jak uczą z elementarza Promyka, jak wprowadzają po raz pierwszy pisanie w zeszytach zamiast rykami na tabliczkach, jak (według ówczesnego zwyczaju) chodzą po chatach chłopskich na darowane obiady...

Ale nas nie tylko interesuje to bogactwo realiów i nie tylko osobiste dzieje i portrety duchowe pamiętnikarzy posród których — jak to nie trudno odgadnąć już z pierwszego wejścia — nie oddajemy czołowego człowieka w faterale. Nas interesuje obraz ludzi i przemian, z którymi się stykali, odzwierciedlenie świata, w którym działali, odbicie czasów, w których wypadło im żyć i rozmyślać. Inaczej mówiąc — szukamy w tych niepowtarzalnych, indywidualnych wizerunkach pamiętnikarzy rysów typowych i ogólnych, które być może składają się na zbiorowy wizerunek całego stanu nauczycielskiego w ostatnim pięćdziesięcioleciu (jeśli taki zbiorowy wizerunek nie jest tylko pewną licencją socjologiczną).

CZY NAUCZYCIELE SA DŁUGOWIECZNI

LICZNI spośród pamiętnikarzy — siedemdziesięcioletni i starsi — to prawdziwi nauczyciele - weterani, którzy ucyli lub ucą nadal pięćdziesiąt i więcej lat, rozpoczynając swą pracę zawodową jeszcze na przełomie wieków: „Latarniczka” w 1899 r., „Oświatowie” w 1900, wielu innych w latach 1901 — 1905. „Dziadek” zainauguruje niedługo swój pięćdziesiąty szósty rok szkolny: uczy obecnie języka rosyjskiego i młodzież nazywa go „Nasz Działuska”. „Oświatowie”, którzy liczą obecnie 77 lat, pisząc o swej pięćdziesięciopięcioletniej pracy w zawodzie nauczycielskim wspomina: „W ciągu swej służby nie miałem żadnych przerw ani urlopów (chorobowych)”. Pracował jeszcze ostatnio jako kontraktowy nauczyciel w Liceum Ogólnokształcącym w Radzynie.

Nierazko nasi pamiętnikarze sięgają swoimi wspomnieniami do wydarzeń u schyłku wieku poprzedniego. Autor pamiętnika opatrzonego godłem „Lysa Góra” żywo wspomina udział młodzieży szkolnej (i swój własny) w uroczystości stulecia Konstytucji 3 Maja (Tarnów — 1891). „Kalina” wspomina uroczystość odsłonięcia pomnika Adama Mickiewicza w Warszawie. A wspomnienia pośrednie (zasłyszane od rodziców) sięgają u niektórych — lat jeszcze odleglejszych — do powstania styczniowego i bodaj nawet do Wiosny Ludów...

Gdy czytając pamiętniki poznawałem życiorysy weteranów — którym z całego serca życzymy długich jeszcze lat życia — zastanawiałem się, czy zawodowi nauczycielski jest rzeczywiście długowieczny. Przecież obecnie mielibyśmy niewątpliwie więcej weteranów, gdyby nie okupacja hitlerowska, podczas której żywo przedwczesnej śmierci wśród nauczycieli było szczególnie obfite. Nie ma prawie pamiętnika, który by nie wspominał o kolegach i towarzyszach wspólnej pracy szkolnej i związkowej, co zginęli z rąk okupanta w wienkach, obozach lub akcjach zbrojnych. Czy więc sędziwy wiek naszych pamiętnikarzy, czynnych przeważnie do późnej starości, świadczyć może poniekąd o długowieczności zawodu?

Przeprowadziłem w tej sprawie błyskawiczną ankietę wśród kolegów i odpowiedź ich była potwierdzająca. Ale najbardziej przekonana mnie zaskakująca wiadomość z PZU: nauczyciele w Polsce żyją o dzień lub dwa dłużej, a nauczycielki

o czternaście lat dłużej niż przeciętnie inni ludzie w naszym kraju, co nawet zmusza do... wyższego kalkulowania nauczycielskich stawek ubezpieczeniowych. W statystyce światowej nasz zawód charakteryzuje się ponad najniższym wskaźnikiem samobójstw i chorób umysłowych.

Wbrew więc ogólnym mniemaniom ciężki i szarpający nerwy trud nauczycielski znajduje rekompensatę w nieustannej wiedzy z aktywnym życiem, z radością młodzieży (swoją drogą przysiadły się u nas jakieś monografie statystyczne poszczególnych zawodów). Warto byłoby także godzin tygodniowej pracy? Prawie trzy miesiące „luzu” w roku? Brak ciągłej groźby odpowiedzialności za straty materialne i za życie ludzkie? Twórcza praca dająca w istocie rzeczy dużo swobody w poczynaniach? A może dziesiątek innych przyczyn?

A zatem ludowe „Obys cudze dzieci uczył” — nie jest w pełni przekleństwem...

ANKIETY PERSONALNE SPRZED 50 LATY

PAMIETNIKI zdają się wyraźnie zwalacza szkół powszechnych — w swej lwiej części, to dzieci ludu i głównie pochodzenia chłopieckiego. Nie jest to oczywiście twierdzenie nowe i odkrywcze, ale interesująca jest w relacjach pamiętnikarzy owa życiowa droga, która w ówczesnych warunkach prowadziła ich do zawodu nauczycielskiego.

„Peliks 48” pisze: „Po odpowiednim przygotowaniu się, bodaj w 1902 r., pojechałem na egzamin do Seminarium Nauczycielskiego w Siemnicy. Zdawało nam przeszło 100 na 30 miejsc. Egzamin zdałem nawet ucale, nieźle, ale nie zostałem przyjęty z powodu niemożności wylegitymowania się chłopieckim pochodzeniem. Następnego roku szkolnego pojechałem na egzamin do Seminarium Nauczycielskiego w Łęczycy. Teraz już wszystkie dokumenty miałem według wymagań. Kosztowało to trzy ruble w Urzędzie Gminnym”.

Władze carskie liczyły bowiem na to, że młodzież chłopiecka łatwiej da się zrusyfikować. Dlatego żądano od kandydatów do nielicznych seminarów nauczycielskich w „Przylaskim Kraju” świadectwa o chłopieckim pochodzeniu.

Z drugiej strony awansu inteligencji dziecka chłopieckiego, oderwanie od nędznego życia rodziny — mogło (i to w wyjątkowo sprzyjających warunkach) nastąpić głównie poprzez seminarium duchowne — do plebanii lub poprzez seminarium nauczycielskie — do szkoły. Tak się też działo w Kongresówce, C. K. Galicji i zaborze pruskim. Jeśli to był syn biedaka, to trafiał zazwyczaj do seminarium nauczycielskiego, nie bez filantropijnego gestu i poparcia ze strony plebanii i dworu, krewnych lub innych ludzi dobrej woli. Oczywiście, droga chłopieckiej dziewczyny do nauczycielstwa była szczególnie ciężka.

Bardzo mało znaleźliśmy wśród pamiętnikarzy synów robotniczych. Natomiast bardziej zróżnicowane jest pochodzenie społeczne nauczycielek: zdarzają się wśród nich córki i chłopieckie, i robotnicze, ale przeważają dziewczęta z mieszczaństwa i inteligencji (w tym i urzędniczej) lub choćby nawet z „dobrych domów”, ale już zdeklasowanych i zbiedniałych. Bywają i córki nauczycielskie. Wszystkie te dziewczęta nierazko z trudem przeżywały się do zawodu frelowskiego i nauczycielskiego przez ówczesne płatne pensje oraz kursy i to również nie bez filantropijnego poparcia różnych ofiarodawców. Trudna droga do nauczycielstwa, to dzieło typowe dla ówczesnego pokolenia kobiet szukających dostępu do inteligencji pracy zawodowej.

Oczywiście pochodzenie społeczne poszczególnego nauczyciela nie miało i nie ma decydującego wpływu na rozwój jego poglądów i działania. Świadcza o tym pamiętniki. Ale czyż można negować, że rodowod społeczny — ludowy rodowod — stanu nauczycielskiego i bezpośrednie, codzienne stykanie się z dziećmi ludu w znacznym stopniu wpłynęły na to, że oblicze ideowe nauczycielstwa było bardziej postępowe i demokratyczne niż innych odłamów ówczesnej inteligencji polskiej.

ICH PRZEDWCZORAJSHA MŁODOŚĆ

GDZIE i kiedy zaczęło kiełkować, a następnie rozwijać się u autorów umiowanie zawodu nauczycielskiego? Niemal wszyscy pamiętnikarze wskazują tu na lata szkolne, zwłaszcza lata nauki w ówczesnych seminarach. Wspominali serdecznie swych nauczycieli, pod których wpływem nabrali ochoty do pracy, osadając krytycznie tych, którzy ich źle uczyli.

„Kalina” pisze: „Matematyki uczyła nam w starszych klasach bardzo miła i dobra nauczycielka, która tak jasno i gruntownie tłumaczyła nam każdą nową lekcję, że nigdy nie miałam żadnych trudności w rozwiązywaniu zadań. Dlatego może i sama, gdy zaczęłam uczyć — najlepiej lubiałam prowadzić rachunki”.

Niezwykłym narzędziem edukacji patriotycznej i kształtowania postawy społeczno — pedagogicznej kandydatów do zawodu nauczycielskiego były tajne kółka szkolne, których liczba wzrosła szczególnie pod wpływem rewolucji 1905 roku. Konspiracyjne kółka działały nie tylko w szkołach Kongresówce. „Sokół” przedstawia opis nastrojów w Seminarium Krośniewskim, gdzie młodzież organizuje się do walki z duchem lojalności i uległości wobec C.K. monarchii habsburskiej. „Korob” — uczeń gimnazjum niemieckiego na Zaolziu należał do konspiracyjnej organizacji młodzieżowej „Jedność”, której członkowie potajemnie uczyli się polskiej pieśni, historii i literatury polskiej. Dzieje tych tajnych kółek i opis ich znaczenia wychowawczo-oświatowego czekają swego historyka.

(Dokończenie na str. 2)

Pamiętniki nauczycieli-weteranów

II nagroda

C.K. Nauczyciele w anglezach



Władysław Bernhardt

Kol. Władysław Bernhardt ur. w 1886 r. w Krośnie — stał godło pamiętnika „Krośniak” — rozpoczął pracę w zawodzie nauczycielskim w 1904 r. Przeszedł w stan spoczynku w 1952 r. i przebywa w Wadowicach. W swej pracy, która uzyskała II nagrodę, autor opisuje stosunki panujące w szkolnictwie galicyjskim oraz pierwsze próby organizowania się nauczycieli na tym terenie.

— Wejść!
Otworzyłem, a raczej uchyliłem drzwi wsunąłem się do pokoju i złożyłem głębioki ukłon. C. k. inspektor szkolny nie zareagował jednak na mój ukłon i pisał coś dalej.

Rozglądałem się po pokoju, ale obserwacja ta trwała krótko, gdyż pan inspektor poruszył się, odłożył pióro, zdjął okulary a zwracając się do mnie rzekł:

— Pan pewno w sprawie posady?

— Tak jest, panie inspektorze.
Równocześnie z odpowiedzią jak błyskawicą przebiegło mi przez głowę, skąd odgadł cel mego przybycia? Zapomniałem przez moment, że jestem w anglezie.

— Pokaż no pan świadectwo.
Podąłem złożony we czworo mój dokument i wycofałem się skromnie na dawne miejsce pod drzwi.

Tymczasem c. k. inspektor szkolny rąbał okulary i zaczął uważnie czytać. Po chwili zapytał:

— Czy pan jest synem Franciszka?

— Tak jest, panie inspektorze.

— Znam... powstaniec z 63 roku, rewolucjonista... odpokutował to Sybir...

Po chwili do siebie pójglosem:
— Mhm... hm... z religii: chwalebny, hm... hm... z odrzuceniem.

Zwrócił mi świadectwo, poprawił się na krześle i rzekł:
— Praca nauczyciela jest ciężka i odpowiedzialna, zabieraj się pan od pierwszego dnia uczciwie do roboty. Kierownika słuchać — on za pana odpowiada. Z chłopami się nie wdawać — wy z miasta nie znacie chłopów i nie umiecie z nimi mówić, od tego jest kierownik. Polityki nie uprawiać, wysięcie do tego za młodzi, bez doświadczenia — na wszystko przyjdzie czas.

Przerwał, a po namyśle zapytał:
— Czyta pan gazetę?

— Tak, panie inspektorze, dorywco.
— To źle — nauczyciel musi wiedzieć, co się dzieje w świecie. Gazetę czytać trzeba — ale trzeba wiedzieć ją. Radzę zaprenumerować „Głos Nauczycielski” (pismo klerikalne). Prenumerata, niestety, kosztuje, a pensyjka mała. Gdy pan nawiąże dobre stosunki z plebanją — ksiądz proboszcz panu użyczy gazetę, gdy sam ją przeczyta. Trzeba umieć z ludźmi żyć.

Po krótkiej pauzie perorował dalej:
— Księdzu proboszczowi należy się przedstawić — gdy to będzie człowiek starszy, okazać wyraźnie uszanowanie należne osobie duchownej.

Skinął głową na znak, że audyencja jest skończona.
Dopiero później dowiedziałem się, co pan inspektor miał wtedy na myśli.

RZEMIENNYM DYSZLEM OD SZKOŁY DO SZKOŁY...

Nim nauczycielstwo zorganizowało się w Związek, jednostki podejmowały walkę z niesprawiedliwością i krzywdą wy-

rażaną nauczycielom. Jednostki te postrafiono niszczyć a nazwiska ich poszły w niepamięć. A przecież to byli bezimienni pionierzy ruchu nauczycielskiego, którzy poprzedzili organizację nauczycielską. Ośrodkami tego ruchu w Galicji był Nowy Sącz i Kraków.

W Nowym Sączu działali między rokiem 1890 a 1900 znani mi: Henryk Kisielewski a później Gutowski, wydawca „Szkolnictwa”. Było to czasopiśmo poświęcone w części sprawom czysto pedagogicznym, w części publikowano w nim wszystkie krzywdy, które spotykały nauczycielstwo. Jakkolwiek całość wydawnictwa była dość umiarkowana, to jednak często po dokonanych przez prokuratora skreśleniach „Szkolnictwo” ukazywało się z dużymi białymi plamami.

W Krakowie nauczyciel Rosół wydawał „Gazetę Szkolną” — czasopiśmo o charakterze na wskroś radykalnym. „Gazeta Szkolna” była konfiskowana raz po raz bądź w części, bądź nawet w całości.

Wreszcie we Lwowie posel (dzięki) Ernest Breiter wydawał „Monitora”. Był to tygodnik, w którym redaktor zamieszczał wszelkiego rodzaju nadużycia, krzywdy, kradzieże — dobra publicznego itp. W „Monitorze” bardzo często pojawiały się artykuły w obronie nauczycielstwa ludowego. Poważny dziennik lwowski „Kurier Lwowski” redagowany przez Bolesława Wysłoucha, działacza ludowego, używał również chętnie miejsca sprawom nauczycielskim podobnie jak i robotniczy dziennik „Naprzód” wychodzący w Krakowie.

Zarówno Gutowski, jak i Rosół występowali jako jednostki, nie mieli za sobą zorganizowanego nauczycielstwa — mas nauczycielskich i dlatego często byli to „głosy wołający na puszczy”.

W pierwszych dniach grudnia otrzymał mój kierownik pismo z Towarzystwa Pedagogicznego we Lwowie. Była to petycja, którą to Towarzystwo miało wnieść do Sejmu Galicyjskiego w sprawach bytowych nauczycielstwa. Kierownik, jako delegat z wyboru do c. k. Rady Szkolnej Okręgowej miał się zająć zebraniem podpisów nauczycielstwa pod petycją.

Sprawa nie była łatwa do przeprowadzenia, gdy się zważy, że nauczycielstwo w ogólnej liczbie 105 osób w powiecie rozlokowane było w małych grupkach, najczęściej w szkołach jednoklasowych po jednej osobie.

Kierownik wynajął konie, naturalnie na własny rachunek i postanowił objechać bodaj część powiatu, wybierając największe skupiska nauczycielstwa. Trzeciego dnia pod wieczór wrócił i udał się zaraz na spoczynek a następnego dnia po odbytej lekcji zaczął opowiadać o swej podróży.

— Mieszkamy przecież na krańcu powiatu — mówił kierownik — więc siłą faktu musieliśmy wybrać jedną drogę prowadzącą ku miastu powiatowemu. Po drodze wstępowałem do szkół prze-

ważnie jednoklasowych, najwyżej dwuklasowych i w tych szkołach koleżanki i koledzy chętnie i bez żadnych zastrzeżeń petycję podpisywali. Tak dojechałem do miasteczka i udałem się do kierownika 5-klasowej szkoły o 9 siłach nauczycielskich. Dałem pismo do przeczytania i objaśnienia, o co chodzi. Nie namyślając się długo odmówił podpisu, tłumacząc tym, że właśnie stara się o posadę kierownika szkoły w miejscowości, w której jest gimnazjum (a ma 4 synów do kształcenia) i taki podpis mógłby mu w uzyskaniu posady zaszkodzić.

Nie nalegałem — ciągnął dalej mój kierownik — tylko prosiłem, aby mnie zaprowadzono do prywatnych mieszkających kolegów. Najbliższe mieszkało małżeństwo. Oboje pracowali w tej szkole. Przedstawiłem im cel mých odwiedzin.

— A jak ustosunkował się do tej sprawy nasz kierownik? — zapytała pani domu.

— Odmówił podpisu z takich a takich powodów — odrzekłem.

— No, to darujcie, kolego, ale musimy być solidarni i zająć analogiczne stanowisko.

— Zie, koleżanko, pojmujecie solidarność — mówię — solidarność nakazuje podpisać.

Nie dała się jednak przekonać. Resztę kolegów — obszedłem z tym samym rezultatem.

Pojechałem dalej. Dojechałem w niedzielę rano do miasta i zaszedłem do szkoły miejskiej. Grono było w komplecie, bo właśnie wróciło z kościoła. Podąłem petycję kol. kierownikowi i w krótkich słowach nasłuchiłem sprawę.

Kierownik zaczął powoli czytać a gdy skończył — kancelaria była już pusta. Grono gdzieś się ulotniło. Oddając mi pismo rzekł: — Macie odpowiedź, grono nie chce się angażować, no a ja jako kierownik — z gronem.

W szkole żeńskiej zastałem kancelarię zamkniętą.

— Tak, moi kochani, nauczycielstwo w mieście ma się jako tako, więc narażać się nie chce, a ci biedacy po wsiach podpisują, bo co mają do stracenia — już im gorzej nie będzie jak jest. Smutne to ale prawdziwe.

Z końcem stycznia 1906 r. nadszedł pierwszy numer „Głosu Nauczycielskiego”, zapowiadający powstanie organizacji pod nazwą: Związek Nauczycielski.

Kierownik po przeczytaniu wypowiedział się pesymistycznie, być może pod wrażeniem niedawno odbytej podróży, nie wróżył, by nauczycielstwo zerwało z dotychczasową biernością i wystąpiło czynnie w organizację. Byłem zdania przeciwnego.

W PIERWSZYCH DNIACH ZORGANIZOWANEJ WALKI

Pod koniec sierpnia 1906 r. otrzymałem dekret nominacyjny na nauczyciela tymczasowego 6-klasowej szkoły lu-

dowej w miejscowości górniczej, położonej w pobliżu zbiegu granic trzech państw zaborczych.

W miejscowości tej było kilka szkół i ponad 30 sił nauczycielskich. Po bliższym poznaniu się zwolaliśmy zebrane organizacyjne Związku Nauczycielskiego, na którym 10 członków podpisało (zgodnie ze statutem) powołanie do życia Ogniska Związku Nauczycielskiego.

Pierwszy Zarząd stanowili: Emilia Smolka — przewodnicząca, Franciszek Madyda — zastępca przewodniczącego, Władysław Bernhardt — sekretarz.

W tym samym jeszcze roku szkolnym na terenie tego powiatu powstało 6 ognisk. Było jednak wielu nauczycieli, którzy z dużą rezerwą odnosili się do organizacji, zajmując wyciekające stanowisko. Rosła jednak organizacja w siłę i znaczenie. Każdy numer „Głosu Nauczycielskiego” notował powstawanie nowych ognisk. W sukurs przyszła wydana w tym czasie książka pt. „Ciemnota Galicji w świetle cyfr i faktów” opracowana na podstawie urzędowych statystyk c. k. Rady Szkolnej Krajowej przez nauczyciela szkoły ćwiczeń przy c. k. seminarium w Krakowie, Zaleskiego. Książka ta przeznaczona była w pierwszym rzędzie dla społeczeństwa, które nauce miało przekonać się, jak jesteśmy zacofanym krajem i do czego doprowadziły rządy obszarńskie.

Obszarńscy bagatelizowali sobie początkowo organizację związkową i wszelkie petycje wnoszone do sejmu pozostawiały bez skutku.

Wówczas Zarząd Główny zarządził mobilizację sił zwolując w 1907 roku

wielki wice krajowy nauczycielstwa we Lwowie.

Poprzez cały kraj poszedł zew: Koleżanki! Koledzy! Masz na wiece! Masz! Niech poznają naszą zwartość i siłę!

Lawą ruszyło nauczycielstwo, nie bacząc na porę zimową. Kogo było stać jechał na własny koszt, na innych się składano, byle pokryć koszty podróży. A wyżwienienie? — Kawalek chleba do kieszeni.

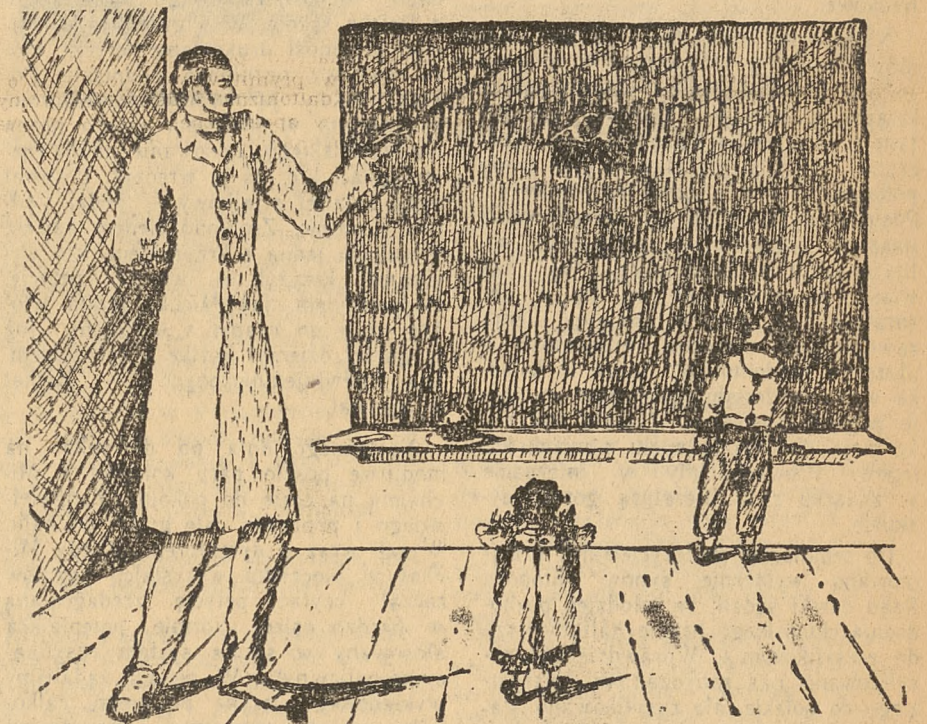
Kierownicy szkół otrzymali z urzędu polecenie, by nie udzielali urlopu ani przed, ani po dniu wyznaczonym na zjazd we Lwowie, a każdą nieobecność mieli zgłaszać do C. K. Rady Szkolnej Okręgowej.

Gdy pociąg krakowski zjechał na dworzec we Lwowie, było już po godzinie 10. Wysypały się tłumy ludu, wszyscy śpieszyli na miejsce zebrania. Zdaje mi się, że była to ujeżdżalnia. Gdy przybyliśmy, sala była już wypelniona po brzegi. Staliśmy więc na mrozie.

A gdy znowu nadszedł pociąg z wiecownikami, więcej było nas na zewnątrz niż w sali. Nie przypuszczano, że tyle nauczycielstwa zjedzie się w taki mroźny czas. Zebranie było burzliwe, dochodziło do nas okrzyki: Precz! Precz! to znowu oklaski po przemówieniach postępowych postoi.

Sejm galicyjski zbagatelizował uchwały podjęte na wiecu lwowskim, jak i cały ruch organizacyjny nauczycielstwa. W 1912 roku ponownie zjechało się nauczycielstwo we Lwowie na drugi powszechny wiec. Przebieg obrad był jeszcze gwałtowniejszy — domagano się od Zarządu Głównego zwolania następnego zjazdu w Wiedniu, gdyby sejm nie uwzględnił uchwał podjętych na tym wiecu.

W następnym roku sejm uchwalił regulację plac. Było to pierwsze zwycięstwo zorganizowanego nauczycielstwa.



W KLASIE

rys. W. Bernhardt

II nagroda

Pod znakiem Rodła

Treść pamiętnika „Rodło” (II nagroda) stanowią dzieje szkolnictwa polskiego na ziemiach zachodnich w okresie międzywojennym i walka polskich działaczy postępowych przeciwko eksterminacji narodowościowej prowadzonej przez Niemców. Autor pamiętnika kol. Florian Kozanecki (ur. 1889 r.) po ukończeniu wyższych studiów we Wrocławiu był przez szereg lat nauczycielem i działaczem oświatowym tegoż szkolnictwa.



Florian Kozanecki

LICZYŁEM 9 lat, kiedy w życiu moim zaszła domostwa zmiana. Dziecko polskie, zwłaszcza z tak licznej rodziny jak nasza, w tamtych czasach, w zaborze pruskim, nawet marzyć nie mogło o kształceniu się na stopniu średnim i wyższym. Na dalszej jego drodze życiowej zarysowywały się z reguły dwie perspektywy: pozostać w rodzinnych stronach i jako niekwalifikowany robotnik na wsi lub w mieście wieść żywot ówczesnej biedoty, albo też wyemigrować do Ameryki lub Westfalii i tam powiększyć szeregi przemysłowego proletariatu.

Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności miała zaistnieć dla mnie inna,

zgoda wyjątkowa perspektywa. Otóż dnia pewnego przybył do nas brat ojca, urzędnik wrocławskiej Dyrekcji Kolejowej, który zabierał swe średnie wykształcenie filantropii. Nie mając własnych dzieci a pragnąc spłacić zaciągnięty dług wdzięczności, postanowił ubogim, młodym krewnym pomóc w zdobyciu wykształcenia. Przybył do nas po to, by zabrać mnie do Wrocławia i uprzęstnieć „najpierw szkołę powszechną w mieście, a potem szkołę średnią i ewentualnie wyższą. Perspektywa rozstania się z jednoklasową w Szczętynicach i jej zniechędzeniem przez nas nauczycielem była dla mnie radosnym przeżyciem. Tak więc znalazłem się niespodzianie w ówczesnym Breslau, w wielkim półmilionowym mieście, w którym ogrom nowych wrażeń mnie przetrząsał.

„Nadszedł niezapomniany rok 1906. (Chodziłem wtedy do gimnazjum klasycznego im. św. Macieja we Wrocławiu). Liczyłem już 17 lat i świadomy byłem wydarzeń, jakie rozgrywały się w zaborze pruskim. Wiedziałem, że moi rówieśnicy brali udział w strajku szkolnym i że na skutek strajków masowych szkoły na Pomorzu i w Wielkopolsce były przeważnie nieczynne. Rozumiałem doskonale, że jest to rozpaczliwy akt samobójczy wymierzony przeciwko brutalnym metodom germanizacyjnym i dumny byłym, że moje ro-

dzeństwo znajdujące się pod zaborem pruskim również strajkowało. Pewnego dnia wezwał mnie nasz dyrektor Jungels do swej kancelarii i oświadczył mi, że niestety będę musiał przerwać naukę w jego zakładzie. Mówił długo o dobrodziejstwach, jakich doznałem w jego gimnazjum i o mojej i mých rodziców niewdzięczności w stosunku do miłośniczego cesarza. Wreszcie sformułował swój ciężki zarzut: „Jak mogłeś dopuścić do tego, że twój bracia i siostry strajkują, że biorą udział w tak brzydkiej, wywrotowej robocie. Zabierz natychmiast swoje manatki i pojedziesz do domu”. Doremnie tłumaczyłem się, że przecież zarówno z zachowania się, jak i postępów w nauce miałem dodatnie oceny i że uczęszczałem regularnie do szkoły. Na dyrektora te moje argumenty nie wywarły żadnego wrażenia.

Usuniecie mnie z gimnazjum za udział w strajku szkolnym było dla mnie mimo wszystko dużą niespodzianką. Nie potrafiłem jeszcze w owym czasie zrozumieć, dlaczego zostałem tak surowo ukarany. Doznany wstrząs psychiczny sprawił jednak, że od tego czasu interesowałem się bliżej uciśnionymi Polakami w b. zaborze pruskim i odczułem potrzebę zaznajomienia się z przebiegiem bohaterskich walk polskiej mniejszości w Niemczech o jej odrębność narodową, kulturę i język ojczysty.

W 1909 r. uzyskałem świadectwo dojrzałości i stanął przede mną trudny problem wyboru zawodu. Ponieważ mój stryj nadal mi pomagał, mogłem sobie pozwolić na studia wyższe. Po długiej rozterce zdecydowałem się studiować przedmioty pedagogiczne, romanistykę i germanistykę, a więc obrałem zawód nauczyciela szkół średnich. Takich śmiałków wśród ówczesnych polskich absolwentów szkół średnich można było dosłownie policzyć na palcach. Horoskopy bowiem dla młodego nauczyciela w cesarskiej Rzeszy Niemieckiej a zwłaszcza Polaka były opłakane, na co składały się dwie ważne przyczyny. Jak we wszystkich krajach kapitalistycznych istniał problem rzekomej nadprodukcji inteligencji. Nawet młodzi Niemcy już po ukończeniu studiów uniwersyteckich i dwuletniej bezpłatnej praktyce czekać musieli na stałe zajęcie bardzo długo. Spotykało się pełnokwalifikowanych nauczycieli szkół średnich z naukowym dyplomem doktora czekających na etat w szkole średniej ogólnokształcącej po kilkanaście lat. W międzyczasie trzeba było sobie radzić jak kto umiał.

Była jeszcze druga przyczyna, która czyniła wybór zawodu nauczycielskiego dla Polaka szczególnie ryzykownym. Władze zaborcze krociły z żelazną konsekwencją po linii odrywania inteligencji polskiej od pnia macierzystego. Szło o to, aby pozbawić masę pracu-

jące tej siły kierowniczej, którą z natury rzeczy stanowi inteligencja ludowa. W wolnych zawodach, możliwości rządu zaborczego były ograniczone, natomiast w stosunku do swych urzędników Polaków dysponował pełną swobodą działania. Tym tłumaczyć należy fakt, że z reguły polski kolejarz, polski nauczyciel i polski urzędnik pocztowy nie pracowali w środowiskach polskich lecz gdzieś w Niemczech, wśród Niemców. Liczono jeszcze i na to, że w tamtym środowisku łatwiej się zgermanizują.

„Po uzyskaniu ówczesnego dyplomu kandydata nauk w propedeutyce filozoficznej, germanistyce i romanistyce w marcu 1914 r. znalazłem się w oczekiwanej, trudnej sytuacji. Co robić dalej? W tym czasie groziła wojna zarysowała się już z taką wyrazistością, że jak zmore zaczęły się na masach.

Zgłosiłem się do władz szkolnych o przydział praktyki nauczycielskiej prozacz o skierowanie mnie do Wielkopolski. Jak było do przewidzenia, władze szkolne nie zgodziły się na moje przejście do ówczesnej nadreklencji poznańskiej. Wielkopolska bowiem uchodziła za teren najbardziej zagrożony, za kuznię polskiego ruchu wyzwoliteckiego, za ropiejącą ranę na ciele cesarskiej Rzeszy Niemieckiej.

Kiedy wyraziłem chęć pracowania na Górnym Śląsku, dano mi przydział do Królewskiego Gimnazjum Klasycznego w Gliwicach. Tak więc rozpocząłem swą pracę nauczycielską wśród śląskich rodaków. Niestety, szkołę moją niewiele, a raczej nic nie łączyło z ludem śląskim. Było w niej rojno i gwarno, doremnie jednak szukałem w niej dziecka śląskiego chłopca, hutnika i górnik. Tytułem bezpłatnej praktyki otrzymałem kilka godzin języka francuskiego i niemieckiego. Ówczesna bezpłatna praktyka dwuletnia polegała przede wszyst-

(Dokończenie na str. 4)

Pamiętniki nauczycieli-weteranów

III nagroda

Dzieje seminarzysty

Kol. Mieczysław Gawęcki (ur. 1885 r.) zdobył wykształcenie pedagogiczne w carskim Seminarium Nauczycielskim w Łęczycy a następnie na Kursach Pedagogicznych Nauczycieli Ludowych w Warszawie. Pamiętnik jego (godło „Feliks 48” — III nagroda) zawiera wspomnienia ze strajku szkolnego 1905 r. i z pierwszych lat pracy nauczycielskiej w Zagłębiu Dąbrowskim i Warszawie.



Mieczysław Gawęcki

SEMINARIA nauczycielskie w zaborze rosyjskim rozmieszczone były celowo w miejscach oddalonych od ośrodków polskiego życia umysłowego — Siennica, Solec n. Wisłą, Jędrzejów, Wymyslin.

Łęczycę Seminarium w porównaniu z innymi było do pewnego stopnia uprzywilejowane. Aczkolwiek do stacji kolejowej — Kutna trzeba było jechać koniami 20 km, to jednak Łęczycą była miastem powiatowym posiadającym przez seminarium jeszcze dwa zakłady naukowe.

Najbardziej atrakcyjną dla nas uczniów instytucją w Łęczycy była księgarnia i jednocześnie wypożyczalnia książek p. Koręjwo. Kierownikiem był tam p. Mieczysław Łabędzki, były nauczyciel. Wiedział on, jaką książkę komu podsunąć, z kim o czym porozmawiać. Posiadał duży wpływ na kształtowanie naszych poglądów — społecznych, politycznych i patriotycznych. On nas właściwie informował, co się w cesarstwie i w świecie działo. Jemu zawdzięczam pierwszą znajomość z „Ludźmi bezdomnymi”, która to książka wywarła decydujący wpływ na moje poglądy społeczne. Zresztą nie tylko moje. Czytało ją wielu z moich kolegów. Prowadziliśmy w internacie w związku z tą literaturą gorące dyskusje.

Do seminariów nauczycielskich przyjmowano wyłącznie synów chłopów. Rząd carski sądził, że młodzież pochodzenia chłopskiego będzie najłatwiejsza do zrusyfikowania. Wprawdzie nie rusyfikowano nas zohydziwianym wszystkim co polskie, ale rusyfikowano stałym przemilczaniem, ignorowaniem kultury polskiej, a starano się kształcić nas i wychowywać wyłącznie na dorobku kultury rosyjskiej. Rusyfikacja się jednak nie udawała. Nawiazaliśmy kontakt z tajnymi organizacjami w Warszawie, skąd otrzymywaliśmy tematy do wypracowań pisemnych o problematyce polskiej. Po napisaniu prac wysyłaliśmy je do Warszawy, tam je skrupulatnie poprawiano i odsyłano z odpowiednimi uwagami. Pierwsze nasze prace w języku ojczystym były okropne: roily się od różnorodnych błędów, ale następne były już lepsze.

Oprócz nauczyciela śpiewu, Zagórskiego, i ks. Zydanowicza wszyscy nauczyciele byli Rosjanami. Warto poświadczyć kilka zdań p. Burniewskiemu, wychowawcy internatu. Pewnego razu, bodaj w 1904 r., jeden z kolegów, Zieliński, po zakończeniu odrabiania lekcji czytał pilnie „Polaka” — zakazany tygodnik wydawany w Krakowie. Nie spodziewanie wszedł Burniewskij, podszedł do niego i pytał: „Czy to wy tak przliźnie czytajecie?”. Zieliński zaniepokojony, Burniewskij bez słowa wziął „Polaka” i opuścił izbę. Następnego dnia wezwał do swego mieszkania Zielińskiego i powiedział: „Gdybym postąpił z wami zgodnie z obowiązkiem służby, musiałbym złożyć meldunek dyrektorowi załączając jako dowód „Polaka”. Dyrektor musiałby o tym zawiadomić żandarmerię. Was musiałaby rada pedagogiczna bezzwocznie usunąć a żandarmeria prowadziłaby dochodzenie zatrzymując was w areszcie prewencyjnym. Nie chce waszej krzywdy, nie chce was gubić. Dajcie mi słowo honoru, że dopóki będziecie w naszej szkole, nie zmieciecie do ręki jakiegokolwiek bądź pisma nielegalnego i naszą rozmowę zachowacie w sekrecie, a ja całą prawdę ukryję. Namyślcie się dobrze, lekkoymślnie słowa honoru dawać nie można. Kto je daje, musi dotrzymać — jeśli nie dotrzyma, będzie smatą nie człowiekiem”.

Dał delikwentowi pół godziny czasu do namysłu i opuścił pokój. Po upływie

tego czasu wrócił i rozpoczął: „Nu kak?” Zieliński przyjął warunki z podziękowaniem i uroczystie przysiągł milczenie. Zabraną numer „Polaka” wrzucił Burniewskij w obecności Zielińskiego do palącego się ognia.

O tym fakcie powiedział mi Zieliński kiedy nas obu już nie było w seminarium. Nielegalnych pism Zieliński do ręki nie brał — ja mu je czytywałem, przy zachowaniu wszelkich ostrożności.

Parokrotnie przyjeżdżał do nas za konspiracyjnymi goście i prowadził z nami uświadamiającą rozmowę na tematy społeczne, polityczne, patriotyczne. Poznałem później niektórych z nich: Zygmunta Nowickiego, Ludwika Sude, Antoniego Anusza. „Ubezpieczone zebrania” odbywały się na cmentarzu. Było to w latach 1904—1905.

Łącznikiem naszym z Warszawą, inspiratorem samokształcenia i organizatorem strajku był uczeń III kursu, Michał Sekuła.

Rozwój wypadków po przegranej przez carat wojnie z Japonią przyspieszał wrzenie rewolucyjne w cesarstwie i na terenie Kongresówki. Sporo wiadomości przedostało się do nas bądź przez Łabędzkiego, bądź przez Michała.

WILCZE BILETY

Na informacyjno — uświadamiających zebraniach na poszczególnych kursach postanowiliśmy przyłączyć się do ogólnego ruchu strajkowego walczącego o Polską szkołę. W wigilię strajku Michał przyniósł drukowaną petycję, którą wszyscy uczniowie podpisali. Postanowiliśmy ją wręczyć dyrektorowi seminarium w obecności całego grona nauczycielskiego. Losowanie miało rozstrzygnąć, kto ma ją wręczyć. Losował tylko komitet strajkowy — bodaj siedmiu uczniów. Zrobiono siedem kartek: 6 białych, jedna z krzyżykiem. Kto wyciągnie krzyżyk — wręczy petycję. Podpatrzyliśmy, jak Michał zanim włożył rękę do czapki z kartkami, już w garści dzierżył kartkę z krzyżykiem. Dla niewtajemniczonych — Michał wylosował.

Następnego dnia po dzwonku na modlitwę poszło paru kolegów z Michałem na czele do pokoju nauczycielskiego i poprosiło całe grono do hallu. Wyszli wraz z dyrektorem. Wtedy Michał w otoczeniu wszystkich uczniów zaczął czytać petycję zredagowaną w bardzo ostrej formie, potępiającą stosowany w szkole system rusyfikacyjno-polityczny. W petycji żądaliśmy wykładowego języka polskiego, całkowitej zmiany programu i nauczycieli Polaków.

Michał czytał spokojnie i donośnie. Nikt z nas nie zamieścił uroczystego nastroju. Po kilku minutach zauważyłem na twarzy dyrektora zmianę... Spostrzegł widocznie, że mu nie grozi nic z naszej strony. Przerwał Michałowi czytanie mniej więcej tymi słowami: „Wszystko dobrze, panie Sekuła, tylko ja nie rozumiem po polsku”. Wtedy Michał po polsku: „W takim razie jak pan może być kierownikiem szkoły i głównym wychowawcą i nie rozumieć języka ojczystego swych wychowanków?”. Chwila kłopotliwej ciszy i Michał odczytał petycję do końca. Zakończenie brzmiało: „Dopóki nie zostaną uwzględnione nasze żądania zawarte w petycji, dopóty nie powrócimy do szkoły, którą w tej chwili opuszczamy”. Następnie Michał odezwał się po polsku: „Teraz zaś, żeby dać dowód dobrej woli z naszej strony i podkreślić poważną sytuację, którą powinniście, panowie nauczyciele, zrozumieć, odczytamy petycję w wolnym przekładzie po rosyjsku”. Czytał Michał po rosyjsku patrząc w polski tekst. Nie szło to gładko, więc ja i jeszcze paru kolegów mocniejszych w rosyjskim pomagaliśmy mu w tłumaczeniu. Następnie petycja została wręczona dyrektorowi. Wziął ją z rąk Michała i powiedział: „Rozumiem, przecież, panowie, że spełnienie waszych żądań nie ode mnie zależy. Zwróćcie się w tej sprawie do moich władz”.

Wszystcyśmy się uklonili, zeszli z piętra na parter, porzucali z czapek znaczki szkolne. Po wyjściu ze szkoły udaliśmy się wszyscy do kościoła, nawet ateusze. Kolega Nitecki, syn organisty, dostał się na chór i zagrał na organach „Boże coś Polskę”. Młodzież melodję podchwyciła.

Teraz chodziło o to, żeby wszyscy wyjechali z Łęczycy. Uczniowski komitet strajkowy wyznaczył trzech kole-

gów, w tej liczbie i mnie, którzy mieli dopilnować, żeby wszyscy opuścili internat. Dopilnowaliśmy wyjazdu z internatu wszystkich uczniów. Nas trzech pojechało na końcu.

Niestety, nie wszyscy strajkujący wytrwali do końca. Niektórzy powrócili do seminarium otrzymując w nagrodę stypendia dwu- i trzykrotnie zwiększone.

Michał i jeszcze kilku z nas otrzymało wilcze bilety.

ENDECY I „ŻYDOWSKIE WOJTKI”

W roku 1906, bodaj w listopadzie, otwarte zostały w Warszawie „Warszawskie Kursy Pedagogiczne dla Nauczycieli Ludowych”, z myślą o młodzieży, która porzuciła rzadowe seminaria nauczycielskie w czasie strajku.

Kursy pedagogiczne mieściły się w dwóch lokalach. Uczyliśmy się w szkole Wojciecha Górskiego — Hortensji 8, mieszkaliśmy zaś w bezpłatnym internacie przy ul. Chmielnej 67. Tam mieściły się sypialnie, jadalnie i kuchnia. Przy internacie mieszkali dwaj wychowawcy. Lekcje odbywały się od 8-12 i po południu od 19-20.

Grono nauczycielskie z małymi wyjątkami mieliśmy pierwszorzędne.

Pracy było dużo. Ośmiem lekcji dziennie i przygotowanie się do nich. Pracowaliśmy gorliwie i sumiennie, ze zrozumieniem. Wszystkich uczniów na kursach było przeszło 100, prawie wszyscy z wyjątkiem kilku warszawiaków mieszkali w internacie.

Po paru tygodniach wspólnej pracy i współżycia w internacie zorientowaliśmy się, że pod względem przekonań społecznych i politycznych uczniowie dzielą się na dwie nierówne grupy: większość, liczącą przeszło 75%, wszystkich stanowili uczniowie o nastawieniu endecko — klerikalnym, mniejsza zaś młodzież postępową, zwana przez endeków „żydowskimi wojtkami”. Wśród endeków było kilku „wtajemniczonych”. Mówiliśmy o nich w ten sposób, ponieważ byli oni często u wychowawcy pana T. B., endecka „z czarnym podniebieniem”, galileusza, drugiego nauczyciela historii powszechnej.

Pewnego razu, bodaj już przy końcu listopada, poszliśmy z Frankiem Faszczą i Majewskim do wychowawcy, aby mu zakomunikować, że w niedziele o godz. 10 rano odbywają się w sali Filharmonii odczyty naukowe, na które uczęszczamy już od paru tygodni i nadal chcemy tam chodzić. W tym samym czasie odbywa się w kościele na Koszykach msza uczniowska, wydaje nam się jednak, że można by nabożeństwo pogodzić z odczytami, chodząc na inną mszę. Pan Tomasz B. nie zgodził się na naszą propozycję.

Bodaj następnej, po rozmowie z naszym wychowawcą, niedzieli padał deszcz. Nie chcieliśmy przyklejać w czasie podniesienia pobudzić naszych zaprasowanych w kant, a przezwicie jedynych, spodni. Faszczą, Majewski i ja staliśmy więc w czasie podniesienia z pochylonymi głowami, inny zaś kolega przyklepnął na jedno kolano.

Tego samego dnia po południu, niemal w trybie sądu wojskowego zostaliśmy wezwani przed oblicze sądu koleżeńskiego, do którego i ja należałem. Wyglądało to mniej więcej tak: sala jadalna z długimi stołami wzdłuż ścian. Przy jednym z nich zasiadł w komplecie sąd w składzie 11 osób. Dwunasty sędzia (ja) — na ławie oskarżonych. Oprócz niego oskarżeni — Franciszek Faszczą, Dionizy Majewski i Adam Stopski. Prokurator — jeden z kolegów zasiadających w sądzie — wyluszcza przedmiot oskarżenia — obraza uczuć religijnych kolegów przez nieprzykleśnięcie w czasie mszy szkolnej. Oskarżeni Gawęcki i Majewski bronili się namiętnie i gwałtownie, Faszczą i Stopski — ironicznie. Wykazywaliśmy kolegom grupotę i bezsens oskarżenia, ślabrykowanego nie z punktu widzenia tych rzekomo obrażonych uczuć, ale ze względu jedynie politycznych. Wreszcie Faszczą pod koniec badania zapytał: — W jaki sposób ci, wrzucy, praktykujący i gorliwie modlący się mogli zaauważyć znajdując się z przodu kościoła, że ci, którzy znajdowali się za plecami „pobożnych”, nie przykleśli. Czym byli zajęci w czasie mszy oskarżyciele, jeżeli mogą tak wiele powiedzieć, o tym, co się działo pod chórem?

Wyrok uczniowskiego sądu koleżeńskiego mimo naszej obrony brzmiał: „Wydalili oskarżonych ze szkoły i zwrócić się też w tej sprawie do Rady Pedagogicznej o zatwierdzenie wyroku”.

Po ogłoszeniu wyroku na sali zerwała się niesamowita burza. Zredagowano pisemny protest do Rady Pedagogicznej, potępiający oskarżycieli... radzono, pomstowano głośnie i ciszej. W dużym podnieceniu czekaliśmy na decyzję Rady Pedagogicznej. Co będzie dalej.

Ktoregoś dnia jeden z kolegów, bodaj Adaś Guzikowski, przybiega na górę wzywając nas, że wychowawcy U wychowawcy czekali na nas wicedyrektor Tozio i profesor Jankowski. Tozio, stary, godny człowiek około 70 lat, piękna siwa broda, mądre, żywe spojrzenie. Jankowski też siwy, z niewielką ostrą brodką i przenikliwym, lecz łagodnym spojrzeniem.

Jankowski zaczął: „Panowie, jesteśmy wydegolowani, aby porozmawiać z wami, żeby wam zrobić parę serdecznych, przyjacielskich uwag, żeby podzielić się z wami naszym długoletnim doświadczeniem, żeby was prosić gorąco i serdecznie”.

Nie potrafię oczywiście powtórzyć wszystkiego. Mówił około 15 minut. Mówił pięknie, gorąco i szczerze. Z uboleowaniem stwierdził, że panuje wśród nas, uczniów, rozbieżność, że stwożyli się grupki. Prosił, abymy zajęli taką postawę, która by nie utrudniała wytworzenia właściwej, koleżeńskiej atmosfery w szkole.

Wszyscy byliśmy wzruszeni. Ja poprosiłem o głos. Byłem zaskoczony i zazenowany tak serdecznym tonem profesora. Toteż tym bardziej zabolalo mnie jego powiedzenie, które podawało w wątpliwość poprawność naszego zachowania w czasie mszy. Podkreśliłem więc, że zachowywaliśmy się w kościele jak należy. Jeżeli ktokolwiek uraził czyjeś uczucie religijne, to nasi oskarżyciele. Jeżeli wnieśliśmy oskarżenie z własnej inicjatywy, to moglibyśmy przyjąć je jako dowód współzucia godnego fanatyzmu. Skoro jednak stali się oni narzędnym w ręku naszych politycznych przeciwników, to zasłużyli na pogardę. Wiemy, kto rozniecił ten fanatyzm religijny, słyszyliśmy przypadkowo rozmowę, w której zdecydowano, że nadarza się okazja „pożycia się tych żydowskich wojtek”. Ostatnie wypadki są cyniczną metodą walki politycznej pod płaszczykiem uczuć religijnych. Powiedziałem też, że postaramy się nie zawieść okazanego nam zaufania i w celu odprężenia atmosfery zobowiązujemy się odgrodzić od następnych zupełnym murem milczenia. Gdy przestanie działać sprężyna, która spowodowała incydent — na pewno nastąpi uspokojenie. Koledzy potwierdzili moje słowa i na tym rozstaliśmy się serdecznie pożegnani przez naszych nauczycieli.

Wieczorem tego dnia odbyło się ogólne zebranie. Przemawiał znowu prof. Jankowski. Mówił jasno i mądrze. Podkreślił, ile trudu kosztowało zorganizowanie naszej szkoły, że utrzymuje się ona dzięki ofiarności społeczeństwa polskiego i że wobec tego jesteśmy dłużnikami, a więc tym bardziej obowiązujemy nas nie tylko rzetelna praca, ale i koleżeńska przyjaźń i wzajemny szacunek. Powiedział, że Rada Pedagogiczna ze zdziwieniem i smutkiem odczytała podanie o usunięciu ze szkoły grupy uczniów. Wielu słuchało z zainteresowaniem i aprobatą, ale można też było usłyszeć szmery niezadowolonia.

Po nim mówił Tozio — kalwin. Powiedział tak: „Przed chwilą mówił do was mój szanowny kolega. Mówił pięknie, przekonywająco, serdecznie. Kamień by się wzruszył, a ja tu słyszę szmery”. Huknął pięścią w stół — „Niech usłysze jeszcze jeden taki szmer niezadowolonia — wtedy zarządę dochodzenie i na pewno sprawiedliwości stanie się zadość... szatanowi nie Polseć służy ten, kto wśród wychowanków takie rozbieżności szerzy”. Przerwał, wziął Jankowskiego pod rękę i wyszli zostawiając wszystkich w osłupieniu.

Takie załatwienie sprawy przez nasze grono nauczycielskie było dla nas wielkim przeżyciem i utwierdziło nas w przekonaniu, że nasza postawa jest słuszna. Trudno nawet było powiedzieć, czy większa była przykrość, czy w rezultacie satysfakcja z odniesionego zwycięstwa i poczucie, że mamy oparcie w takich mądrych ludziach, jak Jankowski i Tozio.

W parę tygodni po całej sprawie zjawił się w naszym pokoju prezes sądu koleżeńskiego i bardzo nas przeproszał za podpisanie niesprawiedliwego wyroku. Tłumaczył się, że uległ fałszywym sugestiom i fałszywym relacjom. Następnie podobnie przeprosił nas cały zespół sędziowski.

Pod znakiem Rodła

(dokończenie ze str. 3)

kim na sporządzaniu bardzo szczegółowych konspektów lekcyjnych, na hospitacjach dyrektora szkoły oraz przedmiotowego instruktora, z reguły starszego kolegi wykładającego te same przedmioty, wreszcie na własnym hospitowaniu lekcji starszych kolegów oraz na dość częstych konsultacjach, na których omawialiśmy wybrane zagadnienia z zakresu dydaktyki i metodyki. Pod względem formalno-metodycznym praktyka ta nie była bezowocna, natomiast pod względem wychowawczym była ona szczytem wstecznictwa i ignorancji.

...Po kilkuletniej tułaczce i poniewierce podczas wojny dotarłem nareszcie w swe rodzinne strony, które dzięki powstaniu wielkopolskiemu już były wyzwolone. Po krótkim okresie pracy nauczycielskiej w Pleszewie Wielkopolskim otrzymałem w 1921 r. polecenie od polskich władz oświatowych przy Ministerstwie B. Dzielnicy Pruskiej udania się do Bydgoszczy i tam współdziałania przy organizowaniu polskiego szkolnictwa średniego.

Odpyły Niemców, zajmujących prawie wszystkie kierownicze stanowiska, wymagające chociażby tylko cenzusu średniego w życiu społeczno-gospodarczym i aparacie państwowym sprawił, że na krótko wszystko zamiarło. Szczególnie kłopotliwa sytuacja wytworzyła się na odcinku szkół średnich. Wszak rdcen ludności polskiej stanowił tutaj chłop i robotnicy, a ich dzieci wyjątkowo tylko mogły pobierać naukę w szkole średniej. Po odpyływie więc młodzieży niemieckiej, szkoły średnie opustoszały. Z drugiej strony, liczba tubylczych nauczycieli szkół średnich była procentowo znikoma. Zabrakło zatem tak uczniów jak i nauczycieli, którzy mogliby zapłacić pustkę gmachy szkolne nowym życiem.

Szybko jednak i samorzutnie, nie długo po odpyływie ludności niemieckiej, nastąpił masowy przypływ rodaków z głębi Rzeczy Niemieckiej z b. Królestwa a zwłaszcza z Małopolski. Rodacy z b. Królestwa i Małopolski przywieźli ze sobą wysoki poziom znajomości języka polskiego i kultury polskiej, czego brak tak bardzo odczuwano Pomorze. Oni to przyczynili się do tego, że po odpyływie inteligencji niemieckiej, życie kulturalne na Pomorzu nie tylko nie zamiarło, lecz przeciwnie odrodziło się szybko.

Z całą ościrością stanął jednak przed nami problem stworzenia liczonej autotechnicznej inteligencji, wyrosłej z ludu i z nim związanej. Komisarz oświaty Ministerstwa B. Dzielnicy Pruskiej i pierwszy dyrektor Państwowego Gimnazjum Humanistycznego w Bydgoszczy, kol. Józef Mazurkiewicz, już w pierwszych miesiącach mojej pracy nauczycielskiej w jego zakładzie postawił mocno na Radzie Pedagogicznej sprawę rekrutacji tubylczej młodzieży do swej uczelni. Aby świecić przykładem, zobowiązał się wpłacać ze swych skromnych poborów miesięczne stypendium na cele tej młodzieży. Nie był on jedyny. Wszczęta przez niego akcja mogła dać oczywiście skromny tylko rezultat.

Podjęmując inicjatywę dyrektora Mazurkiewicza, nauczyciele, obniżyliśmy do minimum swoje wymagania w języku polskim. Zgłaszało się bowiem, zwłaszcza do klas średnich i wyższych, sporo młodzieży ze słabą znajomością języka polskiego, a która mimo to czuła się polską.

Oto jeden przykład wśród wielu innych. Zgłosił się do 8 klasy gimnazjalnej naszej szkoły pewien chłopiec ze świadectwem ukończenia 7 klasy szkoły niemieckiej. Mówił słabo po polsku, przyjeśliśmy go mimo to, wyróżniał się pilnością, jednak rażących braków w języku polskim nie zdołał całkowicie usunąć do końca roku. Dopuszciliśmy go do egzaminu dojrzałości. Ku niemałemu zdumieniu polonisty tenże chłopiec opracował maturalne zadanie z języka polskiego w języku niemieckim — zresztą poprawnie pod względem treści. Na swoje usprawiedliwienie, umieścił pod pracą egzaminacyjną następującą uwagę: „Nie chciałem pracy egzaminacyjnej źle napisać w języku polskim, napisałem ją więc po niemiecku. Niech żyje Polska!”. Ponieważ na egzaminie ustnym wykazał dobre przygotowanie naukowe a tylko znaczne braki w języku polskim, przyznaliśmy mu dyplom dojrzałości i dobrze postąpiliśmy, gdyż później okazał się bardzo wartościowym Polakiem.

...Na odcinku dydaktyczno-wychowawczym okres bydgoski był dla nas okresem gorączkowego poszukiwania nowych metod pracy oraz ich upowszechniania. Szukanie nowych dróg miało charakter spontaniczny i odbywało się przy bardzo skąpej pomocy władz szkolnych. My, postępowi nauczyciele, rozumieliśmy dobrze, że metod dydaktyczno-wychowawczych, wyniesionych ze szkół

zaborczych niesposób przenosić bezkrytycznie na polską młodzież, że trzeba je zastąpić nowymi, lepszymi metodami. Nasze grono nauczycielskie rozwijało żywą na tym odcinku aktywność. Przyjęły się dość częste wzajemne hospitacje, lekcje wzorcowe dla całego zespołu nauczycielskiego, które następnie omawiano na sesjach Rady Pedagogicznej. Praca ta była nietylko pożyteczna, lecz także i bardzo zajmująca, gdyż stanowiliśmy zespół złożony z przedstawicieli wszystkich dzielnic. Każdy z nas wyniósł ze szkoły zaborczej, mimo wszystko, określony styl pracy. Relikty szkoły zaborczej ciążyły na wszystkich. Trzeba było więc znaleźć wspólny język.

...Gimnazjum Polskiej Macierzy Szkolnej w Gdańsku zostało otwarte w 1922 r. przy dzisiejszej ul. Białowiejskiej, tuż przy stacji kolejowej „Biskupia Góra”. Była to wówczas jedyna i najbardziej wysunięta polska placówka oświatowa nie tylko na terenie Wolnego Miasta Gdańska, lecz wogóle na prastarych polskich ziemiach zachodnich, oderwanych od macierzy. My, jej oświatowi i pedagogiczni pracownicy, dobrze znaliśmy ten stan rzeczy. Rozumieliśmy, że przejeśliśmy na siebie moralny obowiązek bronić polskości i nieprzedawnionych praw narodu polskiego na jednym z kluczowych odcinków.

Ta świadomość sprawiła, że nasz kolektyw wychowawczy posiadał swoje specyficzne oblicze. Nie ograniczał się do sumiennego spełniania swych obowiązków nauczycielskich w szkole, gdyż to rozumiało się samo przez się. Prawie każdy poświęcał ponadto wiele czasu na pozaszkolną pracę naukową i społeczno-oświatową. Jedni, jak sędziwy obecny dyrektor Archiwum Gdańskiego dr M. Dragan, jak znany badacz kaszubszczyzny dr W. Pniewski, jak dr K. Jeżowa, E. Jędrkiewicz i Czartkowski wzbogacali nasz dorobek kulturalny całym szeregiem prac naukowych i literackich, inni z dyrektorem J. Augustynskim na czele obsługiwali liczne zrzeszenia społeczno-zawodowe gdańskich Polaków. A zrzeszeń tych było немало, m. in. zasłużone Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku, istniejące po dzień dzisiejszy, Gmina Polska Związku Polaków w Wolnym Mieście Gdańsku, Towarzystwo Powstańców i Wojaków, Polskie Zjednoczenie Zawodowe z licznymi oddziałami, zrzeszenie sportowe „Gedania” i kilka chorów z najstarszym „Moniuszko” na czele.

O przeciętności prac społecznej nikt nie wspominał, albowiem w warunkach niesłychanie napiętej walki dosłownie o każdego człowieka, taka tylko mogła być postawa polskiego nauczyciela. Nie wolno nam było dopuścić, by na zbraniu tego lub innego zrzeszenia polskiego zabrakło atrakcyjnej pogadanki, wzmacniającej polską świadomość mas i nie można było zostawiać polskiego robotnika i jego rodziny bez bezpłatnej nauki języka polskiego.

Jako kierownik Komisji Oświatowej przy Gminie Polskiej w Gdańsku, z porządkiem patrzyłem na trud społeczny swych kolegów. Trud ten wydał swój plon. Liczba świadomych Polaków na terenie W. M. Gdańska stale wzrastała i niemieccy odwetowcy byli bezsilni wobec tego faktu. Dopiero w chwili wybuchu wojny, kiedy oni stali się panami sytuacji, mogli wyładować całą swą wściekłość na bezbronnej ludności polskiej. Ich zemsta była straszna i bodajże w żadnym środowisku tak wysoki procent Polaków nie złożył swego życia w ofierze za sprawę polską, jak w W. M. Gdańsku. Słusznie składamy hołd po dzień dzisiejszy bohaterom obrońcom Westerplatte. Nie wolno nam jednak i o tym zapomnieć, że ludność cywilna nie ustępowała tamtych bohaterom żołnierzom. Cywilni obrońcy gmachu Poczty Polskiej zginęli w walce wszyscy, nie wyłączając kobiet. Spośród nauczycieli Gimnazjum Polskiego Macierzy Polskiej w Gdańsku zginęli lub zmarli w obozach śmierci: Behrendt Erwin, dr Filarski Bernard, ks. Górrecki Marian, dr Kulczycki Tadeusz, dr Pniewski Władysław, Romatowski Leon, Sliwa Julian, dr Tarnowska Maria, Wojtaszewski Leon i Frankowska Jadwiga. Uważając każdego gdańszczanina Polaka za zdraycę, krwawy najeźdźca nie szczędził nikogo, kto po padł w jego szpony, a zwłaszcza nauczyciela.

Pamiętniki nauczycieli-weteranów

III nagroda

Na Białorusi — w szkołach polskich

Kol. Stanisława Podhorska-Okolowa jest autorką pamiętnika „Stawoj” (III nagroda). Ciekawy materiał zawierają opisy dotyczące kompletów tajnego nauczania i samokształcenia oraz walki o szkołę polską w Rosji carskiej (lata 1904–1914). Drukujemy fragmenty tych wspomnień oraz opis działalności Koła Młodych Przyrodników, prowadzonego przez autorkę w szkole podstawowej w Nieświeżu (lata 1924–1934).

ROK 1907. Kiedy byłem w przedostatniej klasie gimnazjum, zwróciły się do mnie i mej przyjaciółki koleżanki z ostatniej klasy z propozycją założenia polskiego kółka samokształceniowego. Bardzo chętnie zgodziłam się. W każdą niedzielę zbieraliśmy się po kolei to u jednej, to u drugiej. Pracę rozłożyliśmy tak: jedna przygotowywała gramatykę, druga historię; ja — zwykle prowadziłam dyktando, a tamte przygotowywały coś z literatury. Po roku doszła do nas jeszcze jedna koleżanka Rosjanka i 4 chłopców, uczniów gimnazjum realnego.

Kierownikiem kółka był kolega Łosicki, syn formala. Utrzymywał on z korepetycji matkę i kształcił dwie siostry.

W Mińsku istniało wtedy duże Kolo Polskie. Nie chcieliśmy jednak do niego należeć. Dużo tam bowiem było młodzieży polskiej, a my chcieliśmy pracować. Korzystaliśmy tylko z ich biblioteki.

Wiosną dowiedziałam się od sprzedających kwiaty dzieci, że nie chłodzi do szkoły, gdyż kazano im się modlić po rosyjsku. Były to dzieci robotników. Spytałam, czy chcą się uczyć języka polskiego. Zgodzili się. Pokazałam im więc swoje mieszkanie. Zebrało ich się siedmioro u mnie i siedmioro u mojej koleżanki. Lekcje odbywały się po południu od 4–6. Dzieci wchodziły różnymi wejściami i w różnych odstępach czasu. To już była tajna szkoła.

Inni koledzy z kółka także nabrali chęci do podobnej pracy i wzięli też po kilkoro uczniów.

W styczniu zorganizowaliśmy dla naszej dziatwy choinkę z szopką, występiami dzieci i zabawą przy gramofonie. Dzieci było około 50. Każde z nich dostało szklanek mleka lub herbaty ze słodką bułką, bombonierkę z bakaliami oraz jakiś prezent, np. sułenkę, fartuszek, książkę itp. Środki na to zdobyliśmy z przedstawienia. Wszystko odbyło się bez rozgłosu. Nawet dzieci umiały milczeć.

Kol. Łosicki był też inicjatorem kółka dla młodzieży od lat 12–16. Zwykle w sobotnie wieczory w jego mieszkaniu zbierało się około 15 dzieci.

Poza kółkiem polskim należałam do kółka samokształcenia rosyjskiego, które teraz nazywalibyśmy marksistowskim. Przerabialiśmy „Kapitał”, „Ekonomię polityczną”, prace Gorkiego, Andrejewa itd.

Kółko to prowadziło pracę uświadamiającą wśród robotników. Pewien student pracował w drukarni. Korzystając z tego odbył dla nas różne odczyty i prelekcje. Otrzymywaliśmy też „Iskrę” oraz rozmaite broszury, z którymi szli koledzy do warsztatów. Moja praca polegała na przechowywaniu tych materiałów. W specjalnym pudełku zakopywałam je w dużym żyłowym ogrodzie. W razie potrzeby odkopywałam i pomagałam przetranszować na drugi koniec miasta — do warsztatów kolejowych.

W okresie tym odbyło się tajne zebranie w mieszkaniu powiatowego marszałka szlachty, w czasie jego nieobecności. Wygłoszony tam był referat na temat: jaką drogę należy wybrać — ewolucyjną czy rewolucyjną. Bardzo długo dyskutowano. Większość wypowiedziała się za rewolucją.

...Nawiazaliśmy korespondencję z jednym ziemianinem i dostawałam pracę w tajnej szkółce dla dzieci fernali w pow. słuckim. Mój pracodawca żądał od nauczycieli znajomości jęz. białoruskiego; ponieważ b. dobrze znałam ten język — zgłosiłam się do pracy. Placa była niska, bo tylko 12 rb. miesięcznie. Musiałam pomagać kase, więc prosiłam pracodawcę o znalezienie mi jeszcze prywatnych lekcji — by dorobić — co się udało.

Od godz. 8–13 pracowałam w tej szkółce. Uczylałam rosyjskiego, bo był potrzebny, jako urzędowy. Na życzenie polski. W mowie, a często i piosenkach, posługiwałam się jęz. białoruskim.

Od godz. 14–18 miałam prywatne lekcje z dziećmi z zascianka. Przygotowywałam je do szkół średnich. Od 20–22 godz. uczyłam młodych fernali i dziewcząt — analfabetów. Nieraz biedacy niemal zasypiali, jednak chętnie przychodzili na lekcje.

W lecie zbierałam dzieci ze szkółki na specjalny wóz-brek i jechałam do wsi (o parę kilometrów). Tam zbiera-

ła się dziatwa, którą rodzice zostawiali w domu podczas robót polnych. Wybraliśmy większy plac przy stodole. Przechodzili dzieciaki w różnym wieku oraz dziewczynki z małym rodzeństwem: brały ze sobą nici i igły. Uczylałam cerować, latać, robić szydełkiem i wyszywania. Śpiewaliśmy piosenki przeważnie białoruskie, opowiadałam bajki, prowadziłam pogadanki. Nie podobało się to „batuszce” (ksiądz prawosławny) — na kazaniach nastraszyl ludzi, że to wpływ polski, mimo że nigdy nie rozmawiałam po polsku — tylko po białorusku. Nabuntował część chłopów i ci nastraszili, że spalą zagrody tych, których dzieci będą przychodziły na pogadanki i po mieście musieliśmy zaniechać swych przyja-



Stanisława Podhorska-Okolowa

dów z wielkim kłopotem i szkodą dla dzieci, które chętnie z tego korzystały.

Pracowałam w tej szkółce dwa lata. Nie obyło się bez przyjazdów i protokolów „uradnika”, lecz byliśmy tak zorganizowani, że gdy przyjeżdżał, byliśmy natychmiast zawiadomieni. Dzieci wychodziły innymi drzwiami — zostawało tylko troje dzieci ochmistrzyni i ekonoma, co nie stanowiło szkody, a tylko prywatne lekcje.

Praca tam była miła i wdzięczna. Pracowałam od godz. 8–22 z przerwami godzinnymi tylko na obiad i kolację, jednak nie czułam zmęczenia, bo byłam młoda, silna, ale, co chyba najważniejsze — dawała mi zadowolenie.

Rok 1922. W naszej szkole w Nieświeżu była nauczycielka z ukończonym Instytutem Robót. Prowadziła stolarzkę i introligatorstwo. Korzystając z tego podaliśmy projekt, by na robotach robiono składane stołeczki, kryte płótnem. Ryśunki często prowadziłam z natury. Przyrodo też przerabialiśmy na wycieczkach. Zwykle lekcje przyrody i rysunków były dwugodzinne. Zabieraliśmy stołki i szliśmy w teren, gdzie na świeżym powietrzu — na stołeczkach, nie narazając się na zanieczyszczenie — młodzież siedząc wygodnie rysowała lub zapisywała swe spostrzeżenia.

Często słyszałam, że niektórzy uczniowie nie szanują roślin i zęgają się nad zwierzętami i ptakami. Przekonałam się, że wszelkie słowne ostrzeżenia nie pomagają. Chciałam, aby miłość do istot żywych wyszła od samych dzieci, stała się ich wewnętrzną potrzebą.

Zwróciłam więc ich uwagę na dzbanek, który stał przy brzoźnie na trawie. Do dzbanków ściekał sok ze skaleczonych drzew. Rośliny zamierały powoli. Porównałam to z wpływem krwi zranionego człowieka. Dzieci zrozumiały zło i postanowiły z nim walczyć. Tak stopniowo zorganizowało się i rozwijało „Kolo Miłośników Przyrody”. Masowo garmęła się do niego młodzież klas IV–VII: każda grupa (klasa) miała swój zarząd. Dość często odbywały się zebrania klasowe i zebrania zarządów. Zarząd każdej klasy miał oddzielny stół. Dzięki temu w chwili zdawania sprawozdań przez przewodniczącego, sekretarza i kasyera można było łatwo zorientować się w ogólnej działalności całej klasy.

Zwykle na zebraniu przeprowadzana była jakaś ciekawa pogadanka lub referat agronomów powiatowego, instruktora Kola Gospodni lub innej kompetentnej osoby.

Często na nasze zebrania zjeżdżali się nauczyciele okolicznych szkół. Składka członkowska wynosiła 10–20 gr. Przede wszystkim kasę naszą zasilały imprezy rozrywkowe.

Każdy członek hodował jakieś zwierzątko lub rośliny, a niektórzy mieli nawet ogródki.

Ogłosiliśmy konkurs na znaczek. Wybraliśmy liść klonu z główką kłosa i literami KMP. Uczniowie chętnie kupowali i nosili w kłapkach te znaczki. Mieliśmy też swoje legitymacje, pieczęć i hymn. Prenumerowaliśmy około 10 różnych czasopism.

W czasie organizowanych przez siebie „Dni dobrot dla zwierząt” i „Tygodni dobrot dla roślin” sadziliśmy drzewa na ulicach i placach. Dzieci pomagały też wtedy w pracy ogrodowej. Opiekowały się ogrodem szkolnym. Chłopcy rozpowszechniali karmniki dla ptaków. W końcu każdego roku odbywał się „pokaz” a raczej wystawa. Członkowie przyprowadzali swych „wychowanków”. Były to kury, króliki, prosięta, cielęta, żrebaki. Stoły zastawione były roślinami. Hasłem naszym było — „Miłuj przyrodę”. Kilka razy wydaliśmy własne pismo.

Aby i młodsze dzieci wciągnąć do naszej pracy, klasa piąta zaangażowała się pierwszą, szósta — druga, a siódma — trzecią. Przeprowadzali wspólnie tzw. „poranki”. Na zebraniach czytali ciekawe wyjątki o interesującej nasze kółko tematyce. Spotkania kończono zwykle śpiewem lub nową i ciekawą grą towarzyszącą czy zabawą dziecięcą.

Sprawdzaliśmy nowe odmiany roślin i kwiatów. Stosowaliśmy nowe metody uprawy i hodowli.

Rozwój kółka to zasługa przede wszystkim dzieci. Od nich wychodziła inicjatywa. Mój głos był tylko doradczy. Nawet w czasie mojej długotrwałej choroby (przeszłam w stan spoczynku) kółko pracowało nadal samo. Czasem tylko członkowie jego zasięgałi u mnie informacji w interesujących ich sprawach.

W chwili mojego odejścia w naszym gabinecie przyrodniczym mieliśmy około 50 ptaków wypchanych. Młodzież zdobyła je sama dzięki pomocy rodziców. Nie brak było także okazów żab, małż, żmij itd. W pięknie wykonanych u nas lekcjach robót — gablotkach umieściliśmy kolekcję motyli, żuków, żebów, jaj, liści, kwiatów itp. Nawet podstawki do przymocowywania okazów dzieci wykonywały same z kory. Mieliśmy też akwaria, terraria.

Gabinet zaopatrzonego dobrze kosztował szkołę grosze — tylko papier i szkło. Była to wszystko praca dzieci.

W ciągu 10 lat pracy w tej samej szkole dało się coś niecoś zrobić.

W roku 1945 w grudniu przyjechałam z reemigracją polską na Pomorze. Rozpoczęłam pracę w szkole na wsi w Piaskach k. Grudziądza. Pracowałam w obu zmianach szkoły i po szkole na doświadczeniach kursie. Wychodziłam z domu o 7, wracałam po 9 wieczór. Mieszkałam we wsi odległej około 2 km. Brnęłam po błocie lub śniegu — po drodze był kanał-rzeczka błotnista, nieraz po pas wpadałam do błota lub przechodziłam dostojnie na czworakach.

Wróciłam więc po dużej przerwie do pracy szkolnej. I jak się czułam? Wzbo-gaciłam swój słownik o jeden wyraz: „karność”. Klasy były łączone i dość trudno było mi i właśnie takiej, jaką byłam — utrzymać tę „karność”.

Od 1951 roku zamieszkałam w Grudziądzu i pracowałam w szkołach jako wykładowczyni jęz. rosyjskiego. Przez 2 lata pracowałam w technikach, a 2 lata w szkołach podstaw. wych. To było przykre, że co roku pracowałam w innej szkole. Utrudniało to osiągnięcie dostatecznych wyników. Traciło się dużo czasu zanim poznało się dzieci — zanim zdobyło się ich uznanie i zaufanie, a przez to osiągnięcie lepszych wyników. Zwykle dzieci przez sympatię do mnie nabierały większej sympatii do przedmiotu.

Na rok 1955–56 zaangażowano mnie do prowadzenia świetlicy. Mam tam dużo rozmaitych trudności a najgorsze, że młodzież nieuchwytne — trudno nawiązać stały kontakt z młodzieżą. Klasy nie mam w grupę. A bez stałego kontaktu z jakąś grupą — nie mogę przeprowadzić tego, co bym zamierzała i planowała. A czas i życie wciąż ucieka...

III nagroda

W Dudkach koło Kalinówki Kościelnej

Autor pamiętnika „Kartki ze wspomnień związkowca” (III nagroda) kol. Jan Radiukiewicz, obecnie kierownik sekcji przedmiotów pedagogicznych WODKO w Białymstoku, ma za sobą 37 lat pracy nauczycielskiej. W roku 1923 znalazł się we wsi Dudki, pow. białostocki, dokąd został skierowany w końcu roku szkolnego na miejsce uznanej przed kilku miesiącami nauczycielki. O tym okresie mówię jego wspomnieniami.

DOBRZE uczyniłem, że wcześniej przyjechałem, gdyż 5 dni musiałem poświęcić organizacji szkoły. Ustaliłem, że 8 kwietnia w sobotę wyjadę do Urzędu Gminnego, aby załatwić wynajęcie budynku na szkołę, zaangażować woźnego itp. sprawy. Należało również zameldować swe przybycie jako nauczyciela.

Pojechaliśmy wspólnie z opiekunem szkolnym, Rogalskim, już na furze urzędowej wyznaczony nam przez sołtysa. Gmina mieściła się we wsi Kalinówka Kościelna odległej od Dudek w prostej linii przez bagna i mokradła około 2 km. Droga, która okalała bagna, wynosiła ponad 3 km. Gmina mieściła się w drewnianym starym budynku, w tzw. „szpitalu parafialnym”, wdzierzanym u księdza. Wójt gminy, a szczególnie „pisarz gminy”, jak tu pospolicie nazywano, nieszczerze, gdy dowiedzieli się, że należy wynająć budynek na szkołę i gdy opiekun zażądał „zyspu nauczycielskiego”, który tu jeszcze istniał, wprowadzony przez okupanta niemieckiego.

Zysp ów składał się z określonej ilości kwintali żyta lub pszenicy, ziemniaków oraz kilku kg tłuszczu, kaszy i maki. To stanowiło jakby ekwiwalent dla wyrównania głodowej pensji nauczycielskiej oraz służyło jako opłata za mieszkanie nauczyciela. Nauczyciel otrzymując ów „zysp” mógł istotnie przeżyć okres ciężkiego kryzysu powojennego, w jakim znajdowała się ówczesna Polska.

Okazało się, że urzędnicy gminni wychodząc z założenia, iż szkoła trwa wg zwyczajów okresu feudalnego od św. Michała do św. Jerzego, tj. od 29.IX do 23.IV, przydzielił przeznaczony dla nauczyciela w Dudkach podzielił między siebie...

Sprawę wynajęcia lokalu i przekazanie inwentarza szkolnego zlecono opiekunowi Rogalskiemu. Na moją uwagę, że powinien zjechać przedstawiciel urzędu gminnego lub dozoru szkolnego, oświadczone, że dozór jest nieczynny, a urząd gminny ma ważniejsze sprawy, takie jak zbieranie podatków, rozpisywanie szarwarków itp. Na moją replikę, że szkoła też jest ważną instytucją społeczną i jej należy też poświęcić trochę czasu — zawyrokowano, że nie należy ich pociągać o ważności obowiązków. Przy okazji, gdy będą na wsi, podpiszą umowę z gospodarzem, a ten raz na ogólnym zebraniu wiejskim należy wyszukać pomieszczenie na szkołę i gospodarzowi do czynu dopłacić markami zboża.

Ponieważ zyspu nauczycielskiego w wystarczającej ilości nie ma, należy uczynić tak samo, jak jest w sąsiednich wioskach, że nauczycielowi ekwiwalent dostarczą same dzieci. Nauczyciel ma kolejno chodzić od domu do domu na obiady. Takie zarządzanie zostało wydane przez sekretarza Urzędu Gminnego w tonie urzędowym.

Oburzyłem się na takie stawianie sprawy, wyjaśniając, że nauczyciele to nie są pastuchy, a dzieci nie krowy lub owce, aby nauczyciel uzależniał się i poniażał, chodząc od chaty do chaty na dzidowanie obiadów w zależności od ilości dzieci w danej rodzinie. Społeczeństwo musi szanować swego nauczyciela, a nie powiewać. Mogę się obejść bez przydziału gminnego, lecz po chatach przyjdzie na obiady chodzić nie będę. O wszystkim tym zakomunikuję Inspektorowi Szkolnemu, do którego pojadę zaraz po jutrze, w poniedziałek. Niech władza szkolna rozstrzyga i przerosi mnie tam, gdzie nauczyciela traktuje się poważnie.

Nastąpiła konsternacja. Wójt zaważwał opiekuna Rogalskiego, coś mu mocno perswadował i w rezultacie oznajmił, że jeszcze w magazynie gminnym da się uzbierać metr żyta i parę kwintali ziemniaków. Resztę on ureguluje na zebraniu wiejskim, na które jutro tzn. w niedzielę, przyjedzie sam osobiście. Na pożegnanie sekretarza osobiście mi poradził, że lepiej jest żyć z gminą w zgodzie, bo może mnie spotkać taki los, jak moje poprzedniczki. Oświadczyłem mu, że przeniesienie i zwalnianie nauczyciela leży w kompetencji władz szkolnych, a nie administracyjnych. Niestety, byłem wtedy istotnie młodym i naiwnym i ślepo wierzyłem w literę prawa.

Wizyta w gminie nie powiodła się. Wracałszy bez humoru i w milczeniu...

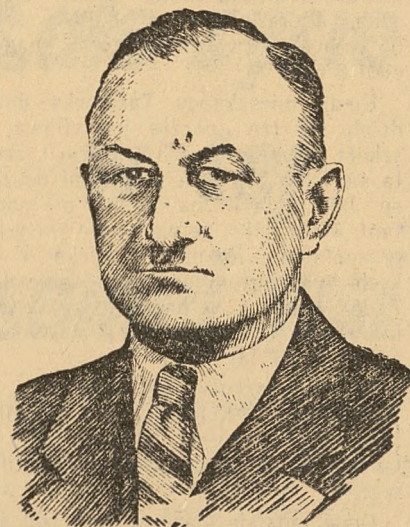
INWENTARZ

Wieczorem przeglądałem dokumentację szkolną. Dziennika lekcyjnego nie było, jedynie wykaz uczęszczania, wg którego ilość dzieci zapisanych do szkoły wynosiła 52: III klasa — 16, II klasa — 17, I klasa — 19 uczniów. Programów szkolnych oprócz języka polskiego nie było. Biblioteka szkolna była nader uboga. Książki przeważnie o treści moralno-religijnej, przestarzałe, parę o treści historycznej — jak „Bitwa pod Gracynem”, „Powstanie listopadowe”, „Serce” Amicisa, „Bajki” Andersena — i to cały księgozbiór, około 30

książek. Nauczycielska biblioteka składała się ze wskazówek do elementarza Falskiego, dydaktyki Szczyówny i paru podręczników z historii oraz czytanka do klasy II i III. Pomocne naukowe — zegar tekturny, metr — linka i uszkodzony cyrkiel, plus pudełko kredy, kalamaz i obsadka ze złamanym piórem. Sprzęt szkolny składał się z pięciu ławek dwuosobowych, przydzielonych przez Inspektorat Szkolny w stanie zupełnie dobrym, przeprosowo zrobionych oraz 5 ławek czterosobowych zrobionych przez mieszkańców wsi z desek nieheblowanych i urągających wszelkim przepisom higieny i estetyki, następnie — z krzyża i tablicy szkolnej. Stołu i krzesła nie było. Tak ubogo i niedźnie wyglądało zaopatrzenie szkoły. W takich warunkach należało rozpocząć zajęcia szkolne i czegoś nauczyć tych młodych dzieciaków, czekających na dobrą szkołę.

KULTURA W DUDKACH

W dziedzinie kulturalnej wieś całkowicie była zacofana. Liczyła ponad 100



Jan Radiukiewicz

analfabetów (dokładnie 101), co stanowiło 41,5%. Refleksje nasuwały się fatalne, szczególnie w porównaniu z faktem, że w tym czasie, o którym pisała codzienna prasa jako o nadzwyczajnym wydarzeniu politycznym, a mianowicie, minister oświaty w Danii podał się do dymisji dlatego, że w czasie powołania do wojska poborowych jeden spośród nich okazał się niepiśmiennym. Minister oświaty w Parlamencie, że zawiódł zaufanie narodu duńskiego, nie spełnił swego zadania i naraził swój naród na kompromitację i dlatego też nie może nadal pozostać ministrem oświaty.

Mimo woli nasuwało się pytanie, kiedy Polska będzie miała taki poziom oświaty. To była tragedia wsi polskiej, szczególnie wsi Białostockiej. We wsi gazet nie plemnerowano, jeżeli nie liczyć kilku egzemplarzy „Gazety Świątecznej”. Czytelnictwa żadnego. Organizacji społecznych we wsi nie było, jeżeli nie brać pod uwagę „Kółka różnoco-wego” itp.

Podczas mego pobytu w Dudkach wkrótce spostrzegłem, że ludność tej okolicy jest bardzo religijna. Można to nazwać religiantem raczej niż głębszym wierzeniem. Przywiązanie do kościoła posiada raczej cechy zewnętrzne. Lubuje się wiew w obrzędowości, dewocjach itp.

Zauważyłem również w tej okolicy mnóstwo kapliczek i krzyży przydrożnych, nie spotykanych w takiej ilości w żadnej okolicy polskiej.

„Każda niedziela fura za furą ciągnęła się ze wsi w kierunku kościoła. Niemal każdy zaprzęg parokonnny. Dys-honorem było jechać jednym koniem, szczególnie młodzież tego przestrzegała, dlatego sąsiedzi sprzegli swe konie, aby mieć parę. Wozy były załadowane wozzystymi kilimami miejscowego wyrobu stanowiącymi wytwór sztuki ludowej. Niektóre były piękne i harmonijne w kolorach.

„UCIEKAJMY, BO ROZJADĄ”...

Spośród dzieci szkolnych nikt dotychczas nie jechał pociągami, nie widział auto, nie był w kinie i nie widział światła elektrycznego. To samo zjawisko i wśród starszych mieszkańców wsi. Wyjątek stanowił były wojskowi, których los rzucał wszędzie.

„Głęboko w pamięć wryła się pierwsza wycieczka szkolna do Białegostoku. Uplanowałem odbycie wycieczki po wakacjach na początku nowego roku szkolnego. Namówiłem koleżankę z sąsiedniej wsi, aby wspólnie zorganizować ową wycieczkę.

Odbyliśmy zebranie rodzicielskie w tej sprawie, ustaliliśmy, że wycieczka odbędzie się w drugiej połowie września przed „wykopkami” ziemniaków.

Zgłosiło się 24 uczniów z klasy III i IV. Uczniowie ci mieli pieniądze na bilety kolejowe. Przed wyjazdem urządziłmy skromną loterię fantową, aby zgromadzić pieniądze na kino itp. imprezy.

We wczesny poranek wrześniowy na 5 parokonnnych wozach załadowanych wozystymi kilimami ruszyliśmy do stacji Knyshyn. Matki ze łzami prowadziły swe pociechy błogosławiąc na drogę, a babka Nowikowa, 70-letnia staruszka, skropiła swą wnuczkę wodą święconą. Przecież to była pierwsza tego rodzaju impreza szkolna, uczniowie pierwszy raz wyjeżdżali pociągami do miasta wojewódzkiego, aby zobaczyć wytwór mózgu człowieka — elementy nowoczesnej cywilizacji technicznej.

Dla wsi zapadłej, jaką były Dudki, stało się to wielkim zdarzeniem i przeżyciem.

Już po godzinnej jeździe dzieci zobaczyły z okien wagonu na horyzoncie komin miasta. Wkrótce z hukami wjechałszy na dworzec w Białymstoku. Niezwykły ruch na peronie ośzodził całkowicie dzieci.

Mieliśmy z koleżanką Stanisławską niemało kłopotu, zanim doprowadziliśmy naszą gromadkę do porządku. Wyznaczeni zostali spośród dzieci do sprawowania swej funkcji, pilnując swych szóstek. Zwiędzialiśmy w Białymstoku Szkołę nr 1 przy ulicy Pałacowej, gdzie mieliśmy nocleg, następnie pocztę (skąd niemal każdy uczestnik wysłał pocztówkę do domu), drukarnię, gdzie młodzież widziała proces drukowania gazety, księgarnię a wieczorem poszliśmy do kina. Tu mieliśmy najciekawszy epizod naszej wycieczki. Ponieważ nie było nas stać na pierwsze miejsce, zajęliśmy drugie miejsce, rzędy tuż przy ekranie. Jak zwykle, film był poprzedzany kroniką. Wyświetlano raid samochodowy we Francji. Na ekranie samochodowy w perspektywie ukazywał się z początku na horyzoncie toru wysycowego jako ruchome punkciki, następnie coraz bardziej zbliżały się do widza rosnące i świecące swymi latarniami. Młodzi widzowie ulegli złudzeniu optycznemu i z krzykiem: „Uciekajmy, bo rozjadą” — zerwali się z krzesel i uciekli na stronę, rzekomo dając drogę samochodom. Nastąpiło krótkie zamieszanie w kinie. Na sali rozległ się śmiech obecných. Musieliśmy uspokoić naszych początkujących amatorów kina, uświadamiając ich, że to są tylko obrazy na ekranie, a nie rzeczywiste auta. Pożniej nie było więcej nieporozumień i dotrwalibyśmy do końca filmu. Długo potem uczniowie dowcipkowali i śmiali się wzajemnie z owej niecodziennej sensacji a równocześnie ze swego zacofania.

PO POZARZE

Zapaleniu powodem wycieczki do Białegostoku planowaliśmy wycieczkę do Warszawy. Niestety, w okresie wiosennym nawiedziła wieś straszna kleska żywiołowa. Przy końcu maja nad wsią przelatała groźna burza. Od uderzenia pioruna pól wsi spaliło się w ciągu godziny.

Groźna to była kleska. Najstraszniejsza było to, że istniał fatalny zabobon, że nie wolno gasić „świętego ognia” pochodzącego z nieba. Siłą trzeba było zapędzać ludzi do ratowania i zlokalizowania ognia. Własny mój przykład walki ze strasznym żywiołem pociągnął młodzież i z czasem dało się pożar zlokalizować. Okropny widok przedstawiała wieś po pożarze.

Spłonęła również jedna z izb szkolnych, gdyż w owym roku szkoła w Dudkach była dwuklasowa.

Pierwszym zadaniem naszym było uruchomienie szkoły. Uczyliśmy w jednej izbie na trzy zmiany. Lekcje trwały od godz. 6 do godz. 16, a czasami i dłużej. Było to bardzo męczące dla nas i dzieci.

Duża ilość dzieci pozostała bez dachu nad głową, bez ubrania, podręczników i zeszytów. Zwróciliśmy się do sąsiednich szkół z odeszłą o przyjęcie z pomocą poszkodowanej młodzieży.

Szkoły serdecznie zareagowały na odeszłą i nadesłały zebrane przez dzieci kwoty. Powołany w tej sprawie komitet postanowił wspólnie z Opieką Szkolną zakupić materiał na bluzy uczniowskie dla chłopów i sukienki dla dziewcząt oraz przybory uczniowskie. Ilekroć było radości i wdzięczności ze strony dzieci i rodziców w tych smutnych dla mieszkańców wsi czasach. Te prezenty przyciągnęły wszystkie dzieci do szkoły, nawet i tych opieszalszych, którzy zaraz po pożarze przestali uczęszczać do szkoły.

Przypominam sobie z tego czasu przykry incydent z inspektorem szkolnym, który przyjechał nas wizytować. Istotnie wykazał bezduszny, formalny i niepedagogiczny stosunek do nas i dzieci. Zamiast pomóc w pracy w tak trudnych warunkach, zażądał od nas wykazania się, czy prowadziliśmy zajęcia reczne w klasach starszych. Pomimo tłumaczenia, że pomoce naukowe i przedmioty zrobione przez dzieci się spaliły, gdyż ratowano przede wszystkim sprzęt szkolny, nie chciał uwierzyć. Trzeba więc było iść na pogorzelsko i tam grzebać, aby udowodnić, że było tak a nie inaczej. I rzeczywiście znaleźliśmy na pogorzelskim popiołach pomoce naukowe robione przez dzieci — bryły geometryczne, skrzynki, szlaki itp.

Pamiętniki nauczycieli-weteranów

IV nagroda

TARGÓWEK 1915

Pamiętnik kol. Aleksandry Dargielowej (IV nagroda) zawiera wspomnienia z lat 1905—1952. Począwszy od roku 1910 kol. Dargielowa pracuje stale w szkołach warszawskich jako nauczycielka i kierowniczka; jest również współautorką kilku podręczników szkolnych. Bierze udział w pracach ZNP przy dokształcaniu nauczycieli.



Aleksandra Dargielowa

ROK 1915... W szkole na Pelcowinie praca szła normalnym trybem. O tyle tylko różniło się, że po paru miesiącach pieszej wędrowki zaczęliśmy znowu jeździć kolejką. Opiekę nad szkołą objął zarząd m. Warszawy.

Jako wizytatorka przyjechała do nas p. Maria Zaborowska. Po wizytacji szkoły i rozmowie z nami nieoczekiwanie dla nas powiedziała: „Ja tu widzę bardzo dobre wyniki pod względem nauczania i wychowania, a inne dzielnice są ogromnie zaniedbane. Tak nie można. Muszę was rozdzielić, bo jest tu was za dużo dobrych nauczycieli. Na Pelcowinie zostanie p. Klimkiewicz, kierownik szkoły już dobrze postawionej i będzie ją dalej prowadził z nowym personelem nauczycielskim. Najbardziej chyba zaniedbany jest Targówek. Tam p. Dargielowa będzie organizowała szkolnictwo, ale chyba razem z żoną, dla obojga wystarczy pracy”.

Zaniemówiliśmy. Pani Zaborowska przyjechała to jako zgodę i odjechała. Dopiero po jej odejściu zaczęliśmy się zastanawiać, co to będzie. Nasz kierownik uprzedził nas, jak mu będzie brak ludzi, którzy przez kilka lat dzielili z nim, jak się to mówi, dole i niedole. A my z mężem zastanawialiśmy się nad tym, jak będziemy się czuli bez naszego kierownika, który z wsze był gotów poradzić i pomóc w trudnościach. Obiektywnie uznawaliśmy jednak służność decyzji p. Zaborowskiej.

Zgodziliśmy się wewnętrznie z propozycją wizytatorki szkół miejskich p. Zaborowskiej przeniesienia się z Pelcowiny na Targówek już w czasie wakacji odbyliśmy z mężem kilka pieszych wędrowek do tej dzielnicy Warszawy (innej komunikacji nie było). Dzielnica okazała się bardzo rozległa i bardzo zaniedbana. Obejmowała obszar od ul. Św. Wincentego aż za szosę radzywińską — tamta część nazywała się Targówek — Utrata. Od Pragi był Targówek oddzielony linią kolejową. Brak był jedynie na ul. Św. Wincentego, ponieważ tą ulicą przechodziły kondukt pogrzebowe na cmentarz Bródnowski. Na innych ulicach można było ułochać w błocie. Podobnie jak Pelcowina Targówek był zabudowany drewnianymi domkami. Na Utracie była jedna fabryka „Siaczana”. Cała ulica Św. Wincentego była usiana zakładami kamieniarskimi, istniała „krzyżowa droga”. Ludność tej ulicy „przeważnie” żyła „z cmentarza”, bo oprócz zakładów kamieniarskich było dużo plantacji kwiatów do przystrojenia grobów, a pod cmentarzem sprzedawano świecidełka, kwiaty i wieńce. I na tej całej olbrzymiej dzielnicy była jedna szkoła na 50 miejsc i jeden nauczyciel kol. Franciszek Zaborowski.

Szukając lokalu na szkołę przesyłaliśmy Targówek, jak się mówi, wszędzie i wzdłuż — i na całym Targówku nie znaleźliśmy odpowiedniego pomieszczenia.

nia na szkołę. Po naradzie, najpierw we dwoje, a potem jeszcze z naszym dawnym kierownikiem, zdecydowaliśmy się zaproponować Miejskiemu Wydziałowi Szkolnemu wynajęcie trzech lokali w różnych punktach Targówka — przy ul. Św. Wincentego, przy ul. Piotra Skargi i na Utracie. Wydział Szkolny zgodził się, wynajął i przeprowadził remont z wyjmowaniem ścian, ażeby klasy były obszerniejsze.

Ja zaczęłam pracować w lokalu przy ul. Św. Wincentego, jako zastępczyni kierownika szkoły, która miała nr 55 i oficjalny adres przy ul. Piotra Skargi. Kierownik szkoły, Wacław Dargiel, zostawił mi swobodę wewnętrznej organizacji filii szkoły, jak zresztą i drugiej swojej zastępczyni na Utracie, Stefani Baczyńskiej. Z dobraniem personelu było trudno, bo dzielnica była odległa i bez komunikacji, a nauczycieli kwalifikowanych mało. Toteż na 14 osób, które potrzebne były w szkole 55, było kwalifikowanych nauczycieli 8 osób.

Kiedy mieszkał Targówka dowiedzieli się tzw. pocztą pantoflową, że szkoła będzie w trzech miejscach, zaczęła się istna procesja z dziećmi do zapisu. Jaka była liczba ogólna, nie pamiętam, wiem tylko, że wszystkie klasy były przepełnione. Rozpoczęcie roku w klasach było ogromne — w klasie I od 7 do 11 lat, a w najstarszej klasie V, która była tylko przy ul. Piotra Skargi, od 12 do 17 lat.

W filii szkoły 55 przy ul. Św. Wincentego 12 było 5 klas, a najstarsza była III. Personal składał się wyłącznie z nauczycielek (2 niekwalifikowane).

Przy podziale klas wzięłam pod swoją opiekę jedną z klas I. Zaczęłam uczyć wg. świętego wydanego elementarza „Chcę czytać”. W wielu wypadkach musiałam pomagać i instruować koleżanki, które prowadziły klasy równoległe we wszystkich trzech punktach Targówka. Robiłam sobie przy tym notatki. W 1917 r. przygotowaliśmy z kol. Oderfeldową książeczkę pt. „Wskazówki do elementarza „Chcę czytać”. Wydała tę książeczkę również księgarnia E. Wende i S-ka, a nauczyciele zamawiający komplet elementarza „Chcę czytać” dla klasy I otrzymywali tę książeczkę jako bezpłatny dodatek.

i ciemnoty — rząd powinien przeznaczyć te niespodziewaną nadwyżkę — na budowę szkół...

Pan wizytator zaczął się śmiać, część zebranych okłaskiwała mnie, a część też się śmiała. Powiedziałem dalej, że ja się nie śmieję, bo to żaden dowcip, a tylko dobra i konieczna społeczna rada.

Nadwyżkę można by jeszcze powiększyć o kilkadziesiąt może tysięcy złotych wydanych na znakce noszonej przez subskrybentów w kłapie, że to niby spełnili swój obowiązek. Znakce ten nosili przeważnie ci, którzy powinni dać 1000, a dali tylko 5 zł, czynili to dla uspokojenia własnego sumienia lub mydlenia oczu bliźnim...

Wszyscy zaczęli się śmiać i klaskać. Musiałem znowu wyjaśnić, że ta budowa to nie śmieszna, ale pilna sprawa. Przecież w naszym powiecie izby są tak przeładowane, że jak nauczycielka chce przy stołiku usiąść, to musi drzwi otworzyć — inaczej tego nie dokaże. Dzieci jest niejednakrotnie 60 w tak zwanej klasie — izbie chłopskiej, która ma okna małe i przybite do futryn gwoździami i jeszcze obklepane gliną — by ciepło nie uciekało... W takiej klasie powietrze jest bardzo ciężkie, tym więcej, że chłopskie dziecko trawi przeważnie „razowicę”.

Jak w tych warunkach ma się ono uczyć? Jak w tych warunkach ma pracować wydajnie nauczyciel? Nierazkie są wypadki, że dziecko stoi przed szkolną godziną i marznie, czekając na naukę w swej „zmianie”. A temperatura w klasach? Przecież uczymy przy temperaturze nieżej 5 st. i to przez dłuższy okres zimowy... Rozpaczliwa ta sytuacja trwa już lat prawie piętnaście. Kiedy się to skończy? Co rząd zrobił w tym zakresie? Co zrobiło na tym odcinku Ministerstwo WRIOP i Kuratorium?

Właśnie musimy budować i to dziś — właśnie teraz — bo już jesteśmy mocno spóźnieni, my w terenie zrobimy wszystko, ale chcemy mieć pomoc i opiekę władz szkolnych.

Wywody moje zakończyły się burzliwymi oklaskami zebranych, ale pan wizytator nie był zadowolony. Poprosił mnie za kulisy (zebranie odbywało się w sali kina) i powiedział, że znalazłem się bardzo nieładnie, mówię głupstwa i mało do rzeczy, i że z tego mogą być konsekwencje. — A przecież pan nie chciałby znaleźć się na Polesiu!

Dzieci w szkole były przeważnie apatyczne, bo niedożywione — niektóre mdlały lub zasypiały. Trzeba było je ratować. Zapoznając się coraz bardziej z ludnością Targówka, wybrałam się kiedyś do sąsiada o parę domów od szkoły, właściciela piekarni, p. Józefa Roguskiego. Przedstawiłam mu stan dzieci i prosiłam o pomoc. Józef Roguski, a zwłaszcza jego żona, tak się przejęli przedstawionym przeze mnie stanem dzieci, że od następnego dnia otrzymywaliśmy koszt chleba lub bułek dla moich „mizeraków”. Józef Roguski wszedł potem w skład Opieki Szkolnej i pomagał mi wiele.

Na terenie m. st. Warszawy powstał w tym czasie Komitet Pomocy Dzieciom (nie pamiętam, czy właśnie tak się nazywał). Specjaliści obliczyli ilość kalorii, jaką powinny dzieci otrzymywać w pożywieniu i zgodnie z tym dostawaliśmy tłuszcz i cukier do kawy, którą gotowało się w szkole.

W 1917 r. zorganizowały się polskie władze szkolne, które po objęciu szkół przede wszystkim zajęły się dużą ilością nauczycieli niekwalifikowanych. Powstało wtedy w Warszawie kilka kursów uzupełniających dla nauczycieli. Ponieważ o moich książkach do nauki jeź. polskiego krytyka łachowa wyrażała się bardzo pochlebnie, więc uznano mnie za specjalistkę metodyki jeź. polskiego i powierzono mi wykłady na tych kursach oraz na Wzwyższym Kursie Nauczycielskim dla nauczycieli o normalnych kwalifikacjach. Bardzo byłam zadowolona tym wyróżnieniem. Starannie opracowywałam wszystkie wykłady i prowadziłam je ku ogólnemu zadowoleniu nauczycielstwa. Nie zaniedbywałam też „dalszego” dokształcania siebie, w dalszym ciągu uczęszczałam na wykłady Wolnej Wszechnicy Polskiej. Ponieważ te obowiązki (szkoła, dom, kursy uzupełniające, Wzwyższy Kurs Nauczycielski, Stowarzyszenie Nauczycielstwa Szkół Elementarnych, Wolna Wszechnica Polska, praca nad podręcznikami) mój dzień pracy zaczynał się o 5 rano, a kończył o 11 wieczorem.

Tymczasem Targówek stopniowo cywilizował się. Powstało w ciągu 2 lat 6 samodzielnych szkół Filia przy ul. Św. Wincentego otrzymała nr 70, a ja nominację na kierowniczkę tej szkoły. Wybudowano barak szkolny przy cmentarzu Bródnowskim i tam przeniesiono szkołę 70. Barak szkolny był drewniany, niski ale dość obszerny, o ośmiu klasach, pokoju nauczycielskim, kancelarii kierowniczkich szkoły i szatni dla dzieci. Przez całą długość budynku był długi i szeroki korytarz z małymi okienkami u góry ponad dachem klas.

Tymczasem niekwalifikowani nauczyciele pokończyli kursy uzupełniające, zorganizowano Komisję Egzaminacyjną. Do jednej z nich powołano i mnie. Na jednej z sesji egzaminacyjnych zdawał nauczyciel już dobrze po trzydziestce, który robił wrażenie niedołągi i słamazary. Z akt dowiedzieliśmy się, że pracuje już kilka lat, że ma żonę i kilkoro dzieci. Zdawał nieszczerze i część Komisji była zdania, że należy go zdyskwalifikować. Mnie się to wydało krzywdą dla człowieka, który przez kilka miesięcy skrupulatnie uczęszczał na kurs uzupełniający i chyba mu w głowie coś tam zostało. „Zobowiązany go, żeby dalej się dokształcał, a nie pozbawiajmy człowieka zawodu, na który już się wewnętrznie nastawił. Pamiętajmy przy tym, że ma żonę i dzieci”. Poparła mnie Maria Librachowa — psycholog i Komisja przyznała mu kwalifikację.

W styczniu 1919 r. Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego powołało mnie na członka kilkuosobowego składu Krajowej Komisji Konferencji Nauczycielskich. Połączenie nauczycieli z trzech zaborów stwarzało konieczność scalenia nie tylko programu, ale i metody nauczania. Nauczyciele z b. Galicji byli bardzo zręczni, z Poznaniaśkiego ciężcy i nieśmiały, z tzw. „Kongresówki” rożniaci, niektórzy na poziomie (dzięki pracy sekcji Nauczania Elementarnego i Stowarzyszenia Nauczycielstwa Szkół Elementarnych), ale duża ich liczba była „surowych” po kilkunastu kursach i egzaminach kwalifikacyjnych. Trzeba było wszystkich nauczycieli nastroić na jeden ton. Do Komisji należeli: Regina Fleszarowa, Aleksandra Dargielowa, Józefa Zapolska, Jan Sztydziński, ksiądz Mauersberger. Przewodniczącym był Stanisław Dobrowski, który nie jeździł, natomiast kierował nami, uzgadniając tematy i miejsca konferencji i wykonując inne najrozmaitsze czynności o charakterze administracyjno-kierowniczym.

Zostawiłam więc szkołę na Targówku już jako tak zorganizowaną pod opieką jednego z kolegów, półtorarocznego syna pod opieką siostry męża i... zaczęłam jeździć.

Cóż to były za jazdy... Pociągi z wybitymi szybami, bez stałego rozkładu, przepełnione niesamowicie, nieoświetlone... Świeczki należały do naszego stałego ekwipunku, a siedziało się przeważnie na własnych walizkach. Zwykle jeździliśmy nocą, bo przecież dnia szkoda na jazdę, przeznaczony jest na konferencje. A przecież nie wszędzie można było dojechać koleją, wysyłano czasem furmanki do stacji kolejowej. A zdarzało się nie raz, że za późno inspektor dostał zawiadomienie o naszym przyjeździe. Tak było np. w Sandomierzu. Koleja dojeżdżała się do stacji Dwikozy, a do Sandomierza jeszcze 12 km. Wychodzimy z wagonu towarowego, na prowizoryczną stację, rozkładamy się a tu nic, furmanki nie ma. Chwilę naradzamy się, a potem zostawiamy p. Zapolską i ks. Mauersbergera, jako starszych ludzi, powierzamy im nasze walizki, a my we troje młodzi i silni, marsz na piechotę... Spotkaliśmy wóz na dziesiątym km., powiedzieliśmy, że na stacji Dwikozy czeka starsza pani i ksiądz, wysoki i chudy i poszliśmy dalej. Doszliśmy do Sandomierza, zjawiliśmy się przed zdumionym i stropionym inspektorem, który wysłał konie, ale nie na ten pociąg, bo list dostał parę godzin temu.

Konferencje, to specjalna karta w dziejach naszego szkolnictwa. Zartobliwie nazywaliśmy siebie „komiwojażerami oświaty”. Tyle było tych konferencji, że już zapominałam, jaki i gdzie był zespół nauczycielski. Pamiętam jednak doskonale dwie. Jedną w Siedlcach, drugą w Białej Podlaskiej. W Siedlcach konferencja odbywała się w budynku dawnego gimnazjum żeńskiego. Przed właściwym tematem nie mogłam się oprzeć pokusie, żeby nie powiedzieć zebrań, że właśnie w tym budynku kilkanaście lat temu i na tej samej sali byłam w gronie uczniów, które żądały nauki w języku ojczystym i za to została wraz z innymi usunięta ze szkoły. W Białej Podlaskiej była niezwykle konferencja. Przyjechalśmy po południu, prawie o zmroku, mieliśmy zaraz zacząć, a ja jako najmłodsza i najży-

wnicz. Zostawiłam więc szkołę na Targówku już jako tak zorganizowaną pod opieką jednego z kolegów, półtorarocznego syna pod opieką siostry męża i... zaczęłam jeździć.

W styczniu 1919 r. Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego powołało mnie na członka kilkuosobowego składu Krajowej Komisji Konferencji Nauczycielskich. Połączenie nauczycieli z trzech zaborów stwarzało konieczność scalenia nie tylko programu, ale i metody nauczania. Nauczyciele z b. Galicji byli bardzo zręczni, z Poznaniaśkiego ciężcy i nieśmiały, z tzw. „Kongresówki” rożniaci, niektórzy na poziomie (dzięki pracy sekcji Nauczania Elementarnego i Stowarzyszenia Nauczycielstwa Szkół Elementarnych), ale duża ich liczba była „surowych” po kilkunastu kursach i egzaminach kwalifikacyjnych. Trzeba było wszystkich nauczycieli nastroić na jeden ton. Do Komisji należeli: Regina Fleszarowa, Aleksandra Dargielowa, Józefa Zapolska, Jan Sztydziński, ksiądz Mauersberger. Przewodniczącym był Stanisław Dobrowski, który nie jeździł, natomiast kierował nami, uzgadniając tematy i miejsca konferencji i wykonując inne najrozmaitsze czynności o charakterze administracyjno-kierowniczym.

Zostawiłam więc szkołę na Targówku już jako tak zorganizowaną pod opieką jednego z kolegów, półtorarocznego syna pod opieką siostry męża i... zaczęłam jeździć.

sza z prelegentów miałam pójść na pierwszy ogień. Wchodzę do dość dużej klasy, oświetlonej jedną świecą, umieszczoną na katedrze. Na sali półmrok, rozglądam się i widzę kilkadziesiąt osób o różnym wyglądzie. Naprzeciwko mnie starsza pani o zmęczonych oczach, dalej młoda dziewczyna z wyrazem zdziwienia w oczach, a pod ścianą mężczyzna w średnim wieku o twarzy okalonej rzyżym zarostem, dawno widząc niestrzyżonym, ubrany w płaszcz żołnierski wygnieciony i za duży na jego figurę. „Zbiegły katorżnik” — pomyślałam, ale natychmiast się zreflektowałam — przecież to mój kolega, nauczyciel... Chwila milczenia, wreszcie opanowuję się, wyciągam swój zeszyt z notatkami i mówię: „Mamy zająć się nauczaniem języka polskiego w szkołach powszechnych, ale tu ciemno, a może koledy chętnieby coś zanotować z tego, co ja będę mówiła”. Nie zdążyłam do końca tego wstępu. Patrzę, a tu wszyscy wyjmują z pulpitów świecę, zapalają ją i stawiają przed sobą — i raptem sala rozjaśnia się, a ja zapomniałam o swoich notatkach i zaczęłam improwizować. Już nie pamiętam co mówiłam, wiem tylko, że mówiłam z zapałem, koledy słuchali z przejęciem, a kiedy skończyłam, otoczyli mnie, pytali o coś, ścisli się za ręce... i nawet ten „zbiegły katorżnik” wydał mi się sympatyczny i bliski.

Jeździłam tak po Polsce tylko do końca czerwca, ponieważ obawiałam się o stan nerwów swojego dwuletniego już wówczas syna. Kiedy wyjeżdżałam, dziecko żegnało się ze mną normalnie, bo było przyzwyczajone, że mama wychodzi do szkoły, ale na obiad wraca. Ale kiedy wracam na kilkunastojętnieobecnosci, dziecko było nieprzytomne z radości, a jeśli chciałam tego dnia wyjść z domu, czepiało się mnie i strasznie płakało.

Tak więc wróciłam do szkoły na Targówku.

IV nagroda

Budowałem szkołę w Kiernozi

Fr. Stawiński (godło „Księżak”, IV nagroda) rozpoczął pracę nauczycielską w 1924 roku. Obecnie uczy w szkole TPD IX w Poznaniu. Praca jego jest autentycznym pamiętnikiem pisany w latach 1934/35, dotyczący w całości budowy szkoły w Kiernozi. Autor był inicjatorem i główną sprężyną wiejskiego komitetu budowy.

— Dlaczego — spytałem — co w tym zlego? Może rzeczywiście coś niewłaściwego powiedziałem?

— Przemówienie pana zrobiło wrażenie — to jest prowokacja.

— Przepraszam pana wizytatora, mówiłem rzeczy prawdziwe, to, że szkoły mają takie warunki to jest prawda — proszę przyjechać do nas, do Kiernozi, zobacz pan jeszcze smutniejsze rzeczy.

Pan wizytator poprosił inspektora i zapytał, czy istotnie mam takie warunki pracy. Inspektor oczywiście potwierdził, ale wyjaśnił, że są to wyjątkowe warunki i okoliczności.

Z dniem 1 kwietnia 1933 r. rozpoczęliśmy wozik na plac kamienne i cegły na fundamenty. Wielu chętnych zaczęło wozik natychmiast po ogłoszeniu terminu i wskazaniami placu. Byli jednak i tacy, którzy mimo deklaracji czekali na specjalne zaproszenie. Trzeba było chodzić od domu do domu, tłumaczyć, zachęcać i argumentować: — Panie X, czy pan może dopuścić do tego, że pan będzie ostatni, przecież już wozą... — A no to jutro. Przywóz! Trzeba znowu pogawędzić, pomagać zdejmować z wozu, zapalić papierosa, zachęcić, coś miłego powiedzieć, by jeszcze kilka fur wyciągnąć. Jeden z gospodarzy ofiarował nam obrzmy kamień leżący w polu — trzeba było odkopywać go i rozsadzać prochem — mieliśmy z niego około piętnaście wozów. W ten sposób zebraliśmy 180 metrów sześciennych kamieni.

By propaganda była stała, dziesiątka do szkoły miała obowiązek przynosić jeden kamień. Składaliśmy je osobno, w pryzmie, która ku wielkiej radości zbieraczy powiększała się z dnia na dzień. Chciałem pokazać dzieciom, że 300—400 kamieni dziennie w okresie miesiąca czy dwu da pokaźne wyniki, że praca społecznie bez specjalnego wysiłku jednostki — prowadzi do rzeczy wielkich.

Przejrzeliśmy i podsumowaliśmy dobrowolne zgłoszenia świadectw rodzicielskich. Okazało się, że mamy kilkadziesiąt dniówek roboczych niefachowych, kilkadziesiąt dniówek fachowych (cieśle, stolarze, ślusarze), całkowite oszklenie budynku (robocizna) oraz około 2000 zł gotówki, którą przeznaczyliśmy na zakup drewna.

Zbudowany tym nie byłam, ale widocznie każda rzecz musi się w urzędzie odleżeć.

Nasz komitet budowy widząc ogromne borykanie się ze zdobywaniem gotówki oraz słabe widoki na przeprowadzenie sprzedaży domu — zaczyna w zapalch słabnąć. O podpisaniu jakichś nowych weksli mowy być nie może — wszyscy obawiają się, że będzie trzeba spłacać obojętnie...

Pojechaliśmy więc do KKO po pożyczkę — oświadczono mi, że bez Wydziału Powiatowego, który musi weksle podziwować, pieniędzy nie otrzymamy. Nie ustępuję — przecież osada ma majątek gromadzkich, więc jest odpowiedzialna i żadnego ryzyka dla Wydziału Powiatowego nie widzę. Argumentuję, jak mogę. Nic. Idę obojętnie do pana starosty. Czekam 10, 15 minut, godzinę. Nareszcie słyszę: — Proszę.

Piękny gabinet — pan starosta za biurkiem, obok dużych, rasowych wilczur. Wyjaśniam dokładnie całą sprawę i proszę o zezwolenie na pożyczkę.

— No tak, ale widzi pan, osada się zadłuża, my, jako władza nadzorcza, nie możemy na to pozwolić, bo potem komplikacje, kłopoty, zresztą domu nie sprzedacie, a pożyczka terminowa.

Proszę, molestuję, że to jedynie nasze wyjście, przecież starostwo nie nie dokłada a budowa już w połowie. Wreszcie pan starosta chce zażądać opinii inspektora samorządu, ale inspektor już wyszedł i dziś go nie będzie. Pan starosta, Kazimierz Więckowski, stary legionista chce zrobić wszystko, co w jego mocy, ale nie ma inspektora.

Przyjeżdżam za dwa dni. Przedstawiam panu staroście od początku o co chodzi.

— Ach tak, coś sobie przypominam — hm... znowu ta sprawa. Woźni! Prosić inspektora. Przyszedł inspektor.

— Panie inspektorze, czego ta Kiernoza chce? Czy ta osada może być wypłacalna?

— W zasadzie tak, bo osada jest bogata i gdyby nawet domu nie sprzedali, to zwróca z innych dochodów; tylko że... KKO nie ma pieniędzy.

— No widzi pan, Ale niech się pan przejdzie do KKO i zapyta, czy mogą dać pieniądze.

— To może telefonicznie — proponuję.

— Starostwo, proszę pana, w takich sprawach nie dzwoni.

Poszedłem więc do KKO. Rzeczywiście pieniędzy brak, ale na wielką prośbę obiecano mi 2000 zł.

Przybiegam do starostwa. Niestety, pan starosta wyjechał, a ponieważ nie dał ostatecznej decyzji, pan inspektor nie może sam zdecydować.

— Niech pan przyjdzie w piątek.

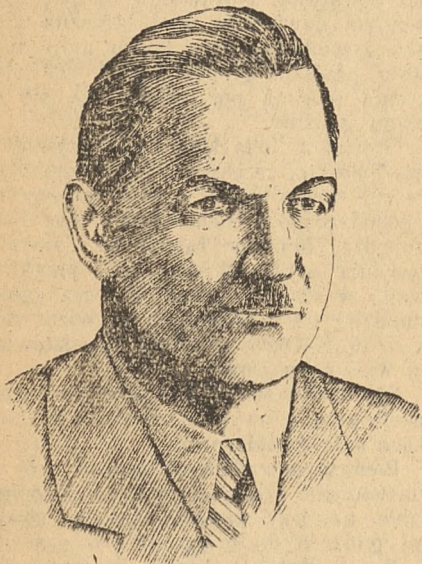
Jadę w piątek do starostwa. Woźni poszedł zameldować. Po chwili wychodzi.

— Pan starosta kazał powiedzieć, że nie przyjmuję, bo dziś rozpoczyna urlop.

Zamroczyło mnie. W tej chwili właśnie pan starosta wyszedł z gabinetu. Powiedziałem wtedy kilka mocniejszych słów. Ze i mnie się też urlop należy, a oddając go dobrowolnie, a jeżeli pan starosta tego nie załatwi, to pojadę do województwa, do ministerstwa, delegacja pojedzie, a my to musimy załatwić...

— Onosi się pan „panie dyrektorze” — burknął pan starosta — mogę to ostatecznie podpisać, ale prawdę mówiąc, dlaczego pan to robi? Tyle lat było dobrze i musiał pan sobie koniecznie wynaleźć dodatkowe zajęcia... sam się pan męczy i nam żyć nie daje... Ot taka piękna pogoda, pojechał pan na Hel albo w góry, a pan nas ministerstwami straszy.

25 sierpnia 1933 r. oddaliśmy trzecią część budynku szkoły. Plan został wykonany w niespełna 4 miesiące. Zamiast wstęgi i szampana oblewaliśmy otwarcie szkoły serdeczną łzą wzruszenia, która po niejednym spływała policzku. Urodziło się biedne, ale zdrowe dziecko, na którego chrzczanie nie było moźnych protektorów, nie było władz, byli sami rodzice, dzieci i nauczyciele.



Franciszek Stawiński

KONFERENCJA wszystkich nauczycieli z powiatu. Z trybunu padają słowa o roli i pracy nauczyciela... „Największym zaszczytem — mówi prelegent — artystycznym wprost rzemiosłem jest wykuwać duszę i charakter przyszłego człowieka. Wnosić go na wyżyny i przysparzać społeczeństwu ludzi dobrych, rozumnych, zdrowych — oto zadanie nauczyciela. Pan wizytator podkreślił łaskawie, że nauczycielstwo w swej masie zadanie to spełnia, bo to jest namacalny dowód dojrzałości społeczeństwa przy subskrypcyjach Pożyczki Narodowej. Rząd liczył tylko na 200 milionów — tymczasem subskrypcja znacznie te sumę przekroczyła — wiadać w narodzie zapał, który nauczyciel w swej pracy krzese.”

Rząd jest w kłopotach, jak ułokować nieprzewidzianą nadwyżkę, która wynosi kilkadziesiąt milionów...”

Wzruszony przemówieniem pana wizytatora, a pragnąc w swej natłoczonej przyjeść z pomocą Rządowi, zabrałem głos i powiedziałem: — Cieszymy się bardzo, że Pożyczka Narodowa dała tak wielką i niespodziewaną nadwyżkę. Jeżeli liczone tylko na 200 milionów, to widocznie tyle było rządowi potrzeba. A co zrobić z resztą?... Mamy odbudować kraj, odrobić wiekowe zaniedbania, wyciągnąć szerokie masy z głędy

Pamiętniki nauczycieli-weteranów

IV nagroda



Anna Czaman-Pawłowska

Autorka pamiętnika pod godłem „Pokłon twojemu szczęściu” (IV nagroda), kol. Anna Czaman-Pawłowska, rozpoczęła pracę nauczycielską w roku 1910. Pracowała w szkole początkowej w Warszawie, następnie (w czasie pierwszej wojny światowej) w Humaniu, później w Dźwińsku (Dyneburgu) i wreszcie po powrocie z Rosji w Janikowie koło Inowrocławia. W październiku 1939 roku osadzona w więzieniu przez hitlerowców — zostaje skazana na śmierć. Jak ocalała — wyjaśnia pamiętnik. Po wojnie wraca znów do swojej szkoły w Janikowie.

I nas tam do pracy. Uczyla tam polskiego, ale krótko, nie chciałam. Dyrektorem był ksiądz, jezuita.

...W listopadzie nasz komitet gotował się do wyjazdu do Polski, z nim też niektóre nauczycielki z rodzinami, mówiono głośno, że Niemcy odepdą, a co my zrobimy? Wtedy ks. dziekan i ks. profesor rozważyli z mecenasem, sprawę pozostających szkół i nauczycielek. Po tej naradzie mecenas wypłacił nam paromiesięczne pobory, rozdzielił między nas zapasy żywności (skromnej!) i wszystkie zasoby komitetu, jak: materiały, urządzenia szpitala, kuznie, oddał nam, iżbyśmy to spieniężyły na dalsze naszej szkoły (bo już trzy scaliły się w jedną) utrzymanie. Pierwszej nocy wszystko to zostało skradzione.

W listopadowe popołudnie pogodne, ale chłodne i wilgotne, będąc w klasach od ulicy, posłyszaliśmy pieśń! Szedł pochód: wojsko, cywile. Wyśliśmy z dziećmi na balkon, a wtedy jeden z umundurowanych wystąpił ku nam i wyciągnął rękę zawał: „Cześć ludowej szkole!” A tłum pow-

— Koleżanko, zamilczcie! strażnik słucha!

Nie przyszła uczyć historii, rozstrzelano ją później.

Kiedy podeszliśmy pod skrzydło więzienia, gdzie byli nasi koledzy, nauczyciele, oni zaczęli nas pozdrawiać, radując się, że jeszcze się widzimy.

Podeszłam bliżej, ale rozmawiać nie mogłam. Nieszczęście wspólne było tak wielkie! „Patrzyliśmy śmierci w twarz”...

...O pierwszej w nocy zrobił się w więzieniu okropny ruch. Szczęśliwie klucze, zajęte przez samochody. Na mekskiej stronie po żelaznych schodach sunęła lawina ludzkich stóp. Rozpoznać się wrzask, wywołanie nazwisk, komenda, salwy, krzyki i jęki. Rozpętało się piekło. Po salwach jak grad padały brauningowe strzały na podworkach, w gmachu.

Zerwałmy się z przycy obie z koleżanką i nasza trzecia spod okna.

— O Jezu, toć oni wystrzelają nas! Za oknami szalały mordercze!

— Leon Koszyński — krzyczano. Znow ktoś krzychał pod oknem.

Autor pracy oznaczonej godłem „Krajna” (nagrada IV) kol. Władysław Maćkiewicz (ur. 1893 r.), syn malarzowskiego chłopca-Kaszu- ba z trudem zdobył zawód nauczyciela. W swej rodzinnej wsi Święta kolo Złotowa, która aż do r. 1945 pozostawała pod władzą niemiecką, walczył jako nauczyciel przeciwko germanizacji ludności polskiej. Tam — po przerwie spowodowanej ostatnią wojną — pracuje dotąd jako kierownik szkoły wiejskiej.



Władysław Maćkiewicz

NADSZEDŁ rok 1905, czas rewolucji i strajku szkolnego w Kongresowce.

Jako dwunastoletni uczeń V kl. rozumiałem dobrze, o co ludzie walczyli. Promienie rewolucji dotarły do mojej wioski w zaborze pruskim. Silne oddziały żandarmerii niemieckiej czuwały nad zachowaniem spokoju i porządku. Nie dostrzegaliśmy jednak tego, co robiła młodzież szkolna. Część młodzieży średnio-rolnej i robotniczej zorganizowała komitet strajkowy. Jako jego przewodniczący zwołałem tajne zebranie, na którym ułożyliśmy pismo do kierownika szkoły z żądaniem nauki w języku polskim. Ja ponadto otrzymałem polecenie zniszczenia wszystkich kijów i trzcini, których nauczyciel używał do bicia dzieci.

Następnego dnia rano punktualnie o godz. 8 wszedł do klasy nauczyciel. Powitaliśmy go w języku polskim. Nauczyciel wpadł w szal. Wyszedł z powrotem i znow wszedł. To samo powtórzyło się. Bić nie mógł, bo kije już były usunięte. Poszedł po żandarmerię. Nie pomogli jednak groźby. Dzieci odesłano do domu. Lekcji w tym dniu już nie było. Na drugi dzień sprowadzono ze Złotowa niemieckiego pastora. Zdołał on słodkimi słowami uspokoić dzieci tak dalece, że nauka odbywała się dalej normalnie w jez. niemieckim. Tak jak przegrana została rewolucja 1905 r., tak też przegraliśmy i my naszą sprawę w szkole.

Otrzymałem od rządu niemieckiego zezwolenie na nauczanie języka polskiego w szkołach w Świętej i Nowej Świętej. Lekcje te odbywały się w godzinach popołudniowych po lekcjach niemieckich. Miałem prawo nauczania języka polskiego we wszystkich klasach, sześć godzin tygodniowo. Oplacać nauczyciela musieli rodzice posyłający swoje dzieci na lekcje języka polskiego. Pracę moją wykonywałem z zamilowaniem i bardzo sumiennie. Chciałem wszystkie dzieci nauczyć czytać i pisać po polsku. Do dyspozycji miałem „Elementarz Toruński” i kilka czytanek, dołączonych kiedyś do „Gazety Grudziądzkiej” i „Pielgrzyma”. Na lekcje uczęszczała cała

Całe życie w tej samej wsi

(była to lekcja historii) zapytał się dzieci: „A czy wy, dzieci, uczycie się dobrze historii?” Tak, odpowiedziały. Inspektor zapytał: „A co powiedziałybyście, dzieci, o Bolesławie Chrobrym?” Dzieci myślały, że mają przed sobą swego człowieka, z całą szczerością odpowiedziały: „Zbił Niemców na kwaśne jabłko”. Pan Siegman już się więcej nie pytał, bo cel swój osiągnął. Nauczyciela już na drugi dzień w szkole nie było.

Praca nauczyciela polskiego w Niemczech nie kończyła się bynajmniej w szkole, czekała go jeszcze praca inna, o wiele trudniejsza i odpowiedzialniejsza — praca w świetlicy. Trzeba było młodzież odciągać od wpływów germańskich i wprowadzać ją w kulturę polską. Szkoły i świetlice mieściły się najczęściej w domach prywatnych. Świetlica w Radawnicy mieściła się w budynku państwa Sławińskich. Młodzież w Radawnicy lubiła śpiewać. Ponieważ ja sam lubię muzykę i śpiew, przeto utworzyłem najpierw sekcję śpiewu, do której przystąpiła młodzież żeńska i męska. Śpiewniki przywoziłem sobie z Polski. Śpiewaliśmy najpierw pieśni jednogłosowe. Następnie skompletowałem chór mieszany na 4 głosy.

Młodzież rozśpiewała się. Śpiewali dzieci, śpiewała młodzież, śpiewali starsi. Tym sposobem zdobyłem całą młodzież, nawet tę na pół już zgermanizowaną. Skoro już miałem całą młodzież w rękę, trzeba było pomyśleć o dalszej pracy. Ponieważ jestem specjalistą haftów kaszubskich, przeto założyłem przy pomocy żony kółko haftów regionalnych. Do tego kółka przystąpiła cała młodzież żeńska. (Również i w szkole na robotkach ręcznych wprowadziłem ten haft). Wspólna praca odbywała się wieczorem w świetlicy przeplatana śpiewami. W wyniku cała młodzież żeńska nosiła suknie przyozdobione haftem kaszubskim. Każdy dom polski przyozdobiony był także haftami. Zwyczaj ten zachował się do dnia dzisiejszego. Dla szerszego spopularyzowania haftów kaszubskich urządziliśmy specjalną wystawę. Urządziliśmy także kurs gotowania.

Dla młodzieży męskiej zorganizowałem kolo agrotechniczne. Każdemu członkowi koloja odmierzone kawałki pola, na którym uprawiał ziemniaki, kukurydzę, buraki pastewne, malwę itd. Poszczególne członkowi koloja dawano do hodowli raz prosiaka, innym razem cielaka, to znów króliki. Praca była konkursowa.

Dwa razy tygodniowo odbywały się wieczorem w świetlicy lekcje czytania i pisania. Tu praca była szczególnie trudna, gdyż młodzież czytała słabo, a pisać to już prawie wcale nie umiała. Do dyspozycji mieliśmy tylko małą biblioteczkę, którą nam przysłała z Polski wieś Wiele, pow. Chojnice. Książki czytano wspólnie, omawiano ich treść i dyskutowano. Wieczory takie przeplatane śpiewami były bardzo lubiane. Kiedy praca w tym kierunku już dosyć postąpiła naprzód, zorganizowałem kółko teatralne. Każda zabawa rozpoczynała się przedstawieniem. W ten sposób wystawiliśmy wiele sztuk teatralnych. Znalazło się i kółko taneczne. Bo i taniec musiał być polski. Również i o sporcie nie zapomnieliśmy. Miałem doskonałą sekcję piłki nożnej. Młodzież żeńska zaś utworzyła zespół siatkówki. Sport prowadził i urządzał rozgrywki kol. Jaroszyk, dzisiejszy podinspektor Wydziału Oświaty w Złotowie. Dwa razy do roku urządzaliśmy w sali pana Kaźmierczaka zabawę publiczną, na którą przychodziła cała ludność polska a także i sporo młodzieży niemieckiej. Taniec polski nęcił i przyciągał.

W NIEWOLI HITLEROWSKIEJ

...W roku 1933 przyszedł do władzy Hitler a z nim koszmarny faszyzm. Był to niejako początek końca szkół polskich w Niemczech. Ciężkie nastały czasy dla szkół polskiej i nauczycieli polskich. Najpierw zabrano im do polskich rodzin robotniczych, obiecano im lepszą pracę i zapomogli dla każdego dziecka, o ile przejdą na stronę niemiecką i wycofają swoje dzieci ze szkół polskiej. Szkoła moja w Radawnicy zmalała z 46 uczniami do 24. Wszędzie powstawały hitlerowskie organizacje młodzieżowe. Organizacje te wrogie występowały przeciw wszystkiemu, co polskie. Pierwszym zaś ich „bohaterem” czynem był napad

(dokończenie na str. 8)

ZMARTWYCHWSTANIE

Z początku zdawało się, że nikt na „prztyłek” nie zwraca uwagi. Jednakże wkrótce zaczęły mi dzieci przynosić wieści, iż są wypytane przez posterunkowego, stojącego dalej trochę na ulicy, co one tu robią. Dzieci miały pod bluzkami polską książkę... Zaczęłam rozmyślać. A jak zapyta o książkę? — A jak mnie tu odwiedza? A tyle tu książek, piór, kalamarzy! Dowody leżą na wierzchu. Zredukowałam wszystko, co się dało. Książki rozdałam do domów, zostawiłam tylko jedną, którą się posługiwałam obchodząc stoly dokola. Do jednej skrzynki poskładałam pióra i kalamarze. Zeszły też nie trzymałam. Codziennie dawałam dzieciom pociechę kartki papieru i na tym dzieci pisały, ćwiczyły się, poprawiali błędy, a po skończonej nauce kartki niszczyłam... W razie czego mogłam łatwiej kartki usunąć, a i każde dziecko wiedziało już, co zrobić z karteczką, gdyby ją nie mogła jej zniszczyć. Pudełko piór i jedną książkę też łatwo było schować. Nauczyla starsze dzieci sprawności, w razie wypadku książkę i pudełko miał schwytywać jeden z chłopców, wskoczył do kryjówki na ukrytym strzasku za różnymi korzytarzykami i tam schować „akcesoria oświaty”!

W DŻWIŃSKU...

Dźwińsk (Dyneburg)... to ważny, węzłowy punkt. Miasto stare leży w dolinie, od rzeki oddzielone, zakryte i zabezpieczone od powodzi wysokim nasypem — „dambą”. Ogromna forteca, tajemnicza, strzeżona, miała pieczę nad miastem, kiedyś była pierwszą obroną, a teraz mówiono, że nie ma znaczenia...

Właściwi mieszkańcy miasta pociągali na początku wojny, a teraz koczując, bezdomna ciżba zapelniała opustoszałe domy. Przeważnie były to kobiety, dzieci, starcy, bo ojcowie rodzin gdzieś na pozycjach grali z losem i śmiercią. Komitet Pomocy Ofiarom Wojny miał pieczę nad nimi i działał sprawnie i rzetelnie. Głową odpowiedzialną był pełnomocnik rejonu. Polak (mecen) i wszyscy jego współpracownicy też Polacy.

...W Moskwie i Piotrogradzie toczyły się walki, wojna domowa, a na froncie zaczęło się „bratanie” i handel wymienny. Pewnego dnia dowiedzieliśmy się o zwycięstwie Rewolucji Październikowej. W życie miasta, do komitetów, do wojska nowy wchodził ustrój. Byliśmy używane do wielu prac społecznych i dostawaliśmy ważne funkcje w nowej organizacji.

...Ale w pierwszych dniach lutego 1918 roku do miasta weszły wojska niemieckie.

...Komitet prowadził teraz wielką robotę polityczną. Naród polski powracał z Rosji do kraju. Na petersburskim dworcu komitet miał wielu dobranych pomocników: przesiewał, egzaminował, zwłaszcza mężczyzn, nim dał przepuszczać na eselon do kraju. Dlaczego? Aby nie wpuścić elementu czerwonego! Polska musiała stać się prawowładną i prawnowładną, a mecenas miał być tam wojewodą.

...Okoliczni ziemianie, elita miasta (już wrócili) założyli polskie gimnazjum kodukacyjne im. Leona Platca, rozstrzelanego w fortecy w r. 1863 i Emilii Plater. Oczywiście powołano

tórzy krzyk. To byli czerwoni. Stałymi jak urzeczona i wielka otucha wstąpiła w nas. Byliśmy potem bardzo wesole i pewne, że szkoły „pójda”. Istotnie tak było. Natychmiast zorganizowano wydział oświaty, nam kazano podjąć pracę i o resztę się nie troszczyć. Koleżankę Marię powołano do pracy w wydziale oświaty. Na wstępie dano nam duży przydział herbaty i landrynek dla dzieci, więc popijaliśmy w przerwie gorący płyn z karmelkami. Co do nauki w szkołach, bardzo była modna podówczas „szkoła pracy” — metoda pochodzenia amerykańskiego.

Nasza dzielna Maria zorganizowała dziecięce ogródki dla każdej narodowości, ogródki były piękne, dobrze wyposażone, dzieci odzywały się bardzo dobrze. Prócz polskich powstały szkoły: (po jednej) rosyjska, białoruska, litewska, żydowska, taka to mieszanina narodowości istniała zawsze na terenie Dźwińska, a teraz każda nacja miała swe uprawnienia.

Rozeszła się nie wiadomo skąd plotka czy prawda, że musimy zostać komunistami. Maria, pracująca w wydziale, nie przeczyła, jakieś dane były. Zaraz też nasi księża, dziekan i profesor, zwołali do siebie na zebranie nauczycieli polskich ze wszystkich szkół. Stawiliśmy się licznie. I otóż profesor wyłożył rzecz całą, do sumień naszych odwołując się, ostrzegając przed komunizmem... Na zakończenie taka konkluzja: mamy wszyscy „złożyć broń”, czyli zerzec się swoich stanowisk.

...Wszyscy byli przeciwni owej propozycji, i wyszliśmy zdenerwowani.

Tejże nocy księża ostrzeżeni znikli. Ale czy ks. profesor chociaż zrozumiał, na co nas chciał narazić, przez mistycyzm swój czy głupotę?

Nikt nie żądał od nas przyjęcia komunizmu, doręczaliśmy same ideologiczne, pracując wiernie w myśl wskazań i nakazów, i troszcząc się o nasze szkoły i o dzieci nasze.

OKO W OKO ZE ŚMIERCIA

Dnia 11 października 1939 r. została aresztowana i odstawiona „pod konwojem” do Inowrocławia. Razem z mną aresztowano kierownika z Janikowskiej szkoły, Jana Wojciechowskiego, nauczyciela Preza, urzędników z cukrowni, nauczelnika poczty i koleżankę z Kołudy, Zofię Fengler. W więzieniu znajdowało się już nauczycielstwo z całego powiatu. Mieli nas wieść do Dachau, lecz nie doszło do tego, na miejscu zostaliśmy zdezorientowani. Dnia 14 października wieczorem dokonano egzekucji na 14 spod Gniezna, którzy z bronią operali się Niemcom. Zamknięte w celach przeżywałyśmy parokrotnie śmierć, gdy zbrodnia dokonywała się na podwórzu więziennym. Była to sobota, a w niedzielę przed południem kazano nam spacerować po owym podwórzu, gdzie w rynsztoku krwi była obitość, a na drucie wisiały smutne skazanców. Mgła była, wilgoć i fetor krwi mdlił. Młodzieńka nauczycielka, Jadwiga Smałgówna, znalazła patron od naboju karabinowego — podniosła go szybko i w uniesieniu powtarzała:

— Tu przyjdzie z dziećmi uczyć historii! Tu przyjdzie!

— O Jezu, o Jezu, gdzie ja jestem? Gdzie mam uciekać?

I znow salwy, i znow grad brauningowy.

Nieprzypadkiem prawie wołałyśmy o zmiłowanie Boskie. Cała żeńska strona, wszystkie cele nauczycielek „padły na twarz”.

Wtem na dole zaczęły klucze zło-wrogie. Banda jakaś wdarła się z krzykiem i pędziła na górę. Wśród wrzasku otwierano sąsiednią celę:

— Dykiert!
— Doroszewska!
— Dominiczak Wanda!
— Dominiczak Maria — raus!

I wśród piekielnego jęzgotu pociągnięto je na dół. Słyszaliśmy głos Wandy:

— Jezu, za co?

Zrozumiałymy momentalnie: alfa-bel nasz rozpętał.

Za oknem wściekła komenda:

— Ein, zwei, drei! Feuer!

Ale salwa nie rozległa się. I znow to samo, i znow nic. I trzeci raz komenda a salw nie było. Tylko trzaskali brauningi.

Potem otworzyła się gardziel ponownie.

Czekaliśmy swojej kolei.

O szóstej rano otwiera się cela i zjawia się naczelnik straży. Kurt Berent, rozpuszczony, zziębnięty, cuchnący krwią. Przyszedł do nas właśnie, bo tu więził swą opiekunkę. Odwróciliśmy się od niego...

„Kobiet tam nie było — mówi głośno kuciek do nas. — Sam wozilem trupy, było 63, ale kobiet nie było!”

Powoli zebrałam szczegóły tej makabrycznej nocy. Wszystkimi były skazane najpierw do obozu do Dachau... Potem zamieniono na wyrok śmierci w tę noc. Złotnież to wiedzieli. Za kilka dni dowiedzieliśmy się, że owe wywołane koleżanki żyją i że Maria Dominiczak ma przestrzelone ramię i jest w szpitalu.

W czwartym roku wojny spotkałam Marię Dominiczak. I ona uspełniła fakty tamtej nocy.

Wszystkie miałyśmy być rozstrzelane, a my na początek. Ale żołnierze odmówili strzelać do kobiet.

Gdy nas wywieziono, postawiono pod mur, żołnierze odmówili „ognia”... a koleżanka Dykiertowa poznała leżącą na ziemi swego męża i zaczęła jęczeć. Wtedy landrat krzyknął:

— Frauen nicht!

...Ilu spośród nauczycieli zginęło, na razie nie wiedzieliśmy, w każdym razie kilkunastu, resztę 1 listopada wywieziono do lasów za Gniewkowem i tam rozstrzelano. Wśród nich był nasz Jan Wojciechowski, Adolf Prez, Czesław Tadzik i wielu innych, a z kobiet razem z dziećmi stracono Wandę Ciszewską z Rojewy — matkę dwójki dzieci, Zofię Frajerową i Jadwigę Smałgównę z Gniewkowa. Narazili się Niemcom służąc Polsce. Naskarżyli miejscowi Niemcy, których dzieci uczyla.

...Dnia 3 listopada dostałam w kancelarii więzienną na piśmie zwolnienie i złożyć musiałam podpis, że mi nie wolno uczyć nawet własnego dziecka, bo „gdyby znowu przyjdzie tutaj, to tylko pod mur” — pouczał „Wachtmeister”.

ABY RATOWAĆ ZIEMIĘ ZŁOTOWSKĄ

Wojna światowa miała się ku końcowi. Spieszyliśmy mi było do domu. Traktatem wersalskim Ziemia Złotowska miała przypaść Polsce. Zadaniem moim było objąć natychmiast stanowisko nauczyciela polskiego w mojej rodzinnej wiosce, Świętej. Zaraz też zorganizowałem kursy języka polskiego, ażeby ludność przygotować do pracy dla Polski. Pracy w szkole nie mogłem rozpocząć, gdyż nauczyciele niemieccy jeszcze pozostali na swoich stanowiskach. Jak jasny piorun z nieba spadła na moją ziemię rodzinną, na Ziemię Złotowską, straszna wiadomość: Ziemia Złotowska miała pozostać nadal przy Niemcach, a w zamian za to Polska miała otrzymać część Ziemi Chojnickiej tzw. „Kosznajdry”. Natychmiast porzuciłem pracę nauczycielską i przystąpiłem do pracy nad ratowaniem Ziemi Złotowskiej.

W Wielkopolsce wybuchło powstanie. Front powstańców zbliżał się do Ziemi Złotowskiej. Starałem się koło Wyrzyska przedostać do powstańców wielkopolskich. Niestety, zamiar mój się nie udał, gdyż nie zdołałem przedrzeć się przez linie niemieckie. Wtemczas udałem się inną drogą do Poznania.

W Złotowie utworzyła się Rada Ludowa, której przewodniczącym został ks. Pellowski. Rada Ludowa zebrała materiały na piśmie i powołała delegatów, celem posłania ich do Warszawy do Rządu Polskiego. Wśród tych delegatów musiał przede wszystkim być nauczyciel. I tak znalazłem się po moim powrocie wśród tych delegatów, którzy mieli sprawę przedstawić Rządowi Polskiemu i prosić w imieniu całej ludności polskiej o przyłączenie Ziemi Złotowskiej do Polski.

Wszystkie papiery Rady Ludowej wzięłam za pazuchę i wraz z moim bratem po pokonaniu wielkich niebezpieczeństw przekroczyliśmy tajną granicę polską koło Czarnkowa i znaleźliśmy się w Polsce. Teraz czułem się już bezpieczny. Punkt zbieżności był w Poznaniu. Tu zebrał się wszyscy delegaci, skąd już wspólnie z p. Jaskiem jechaliśmy do Warszawy.

Nasze postulaty przedłożyliśmy ministrowi spraw zagranicznych. Przy dużym okragłym stole zajęliśmy wszystkie miejsca. Pan minister dał nam wyjaśnienia na stawiane pytania. Na pytanie, czy Ziemia Złotowska będzie przyłączona do Polski, pan minister wzdrygnął ramionami i powiedział: „Panowie, tam już nic zrobić nie można”.

Następnie udaliśmy się do prezesa rady ministrów, gdzie spotkała nas ta sama odpowiedź. Próbowaliśmy zorganizować jeszcze jedno spotkanie, tym razem u nauczelnika państwa, J. Piłsudskiego. Również i tam nie zdołaliśmy nic uzyskać. Zbić na duchu, zmęczyć podróżyami i konferencjami bez skutku, wróciliśmy znowu tajnymi drogami przez granicę do domu, do Złotowa. Tu zdaliśmy sprawozdanie Radzie Ludowej z odbytych podróży. Cała nasza praca polityczna skończyła się fiaskiem. Wróciłem znowu do pracy nauczycielskiej. Zadaniem moim było ratować każdą duszę polską przed zgermanizowaniem. Wierzyłem mocno w to, że kiedyś moja ziemia rodzinna wróci jednak na łono ojczyzny — do Polski.

